

Także można mieć
Także można mieć

88

P.A.M.



T.T. JEŻ
NARZECZONA
HARAMBASZY

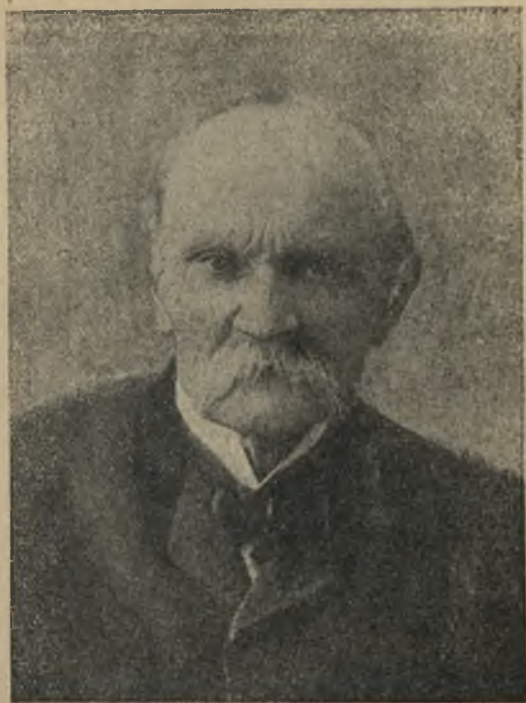
WYD. M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
WYBÓR DZIEŁ T. T. JEŻA
10 TOMÓW KWARTALNIE

NARZECZONA HARAMBASZY

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

<http://rcin.org.pl>



Z. Miłkowski.

T. T. JEŻ.
1824 - 1915

WYBÓR DZIEŁ T. T. JEŻA — TOM V

T. T. JEŻ

NARZECZONA HARAMBASZY

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SŁOWIAŃSZCZYZNY
POŁUDNIOWEJ

CZĘŚĆ I



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

30-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

<http://rcin.org.pl>

Dwa tomy (I. II) w jeden

WYBÓR DZIEŁ T. T. JEŻA — TOM VI

T. T. JEŻ

II

NARZECZONA HARAMBASZY

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SŁOWIAŃSZCZYNY
POŁUDNIOWEJ

CZĘŚĆ II



1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

IX.

List paszy.

Tydzień cały upłynął od wypadków w powieści ni-niejszej opisanym, wypadków, pomiędzy którymi ostatnim była starej Milewy w haremie wizyta.

W ciągu tygodnia tego nie zaszło nic, coby zasłu-giwało na osobną w opowiadaniu naszym wzmiankę. Gdyby wędrowiec jaki przybył w tym tygodniu do Ja-godyny i obejrzał miasteczko, mógłby w podróźnej książeczce swojej zapisać, że widział zakątek, w któ-rym kwitnie spokój, na zadowoleniu oparty. A ponie-waż zadowolenie jest owocem szczęścia, więc wynik z tego taki, że do szczęścia nie potrzeba niczego inne-go, tylko panowania tureckiego.

Takie też było to szczęście, taki ten spokój, który w Jagodynie panował, — spokój zewnętrzny, formal-ny, podobny do powierzchni wulkanu, przygasłego na wieków parę.

Wszystko było spokojne, zacząwszy od oblicza sta-rej Milewy, której małżonka Ali-agi ulokowała w du-szy piekło.

Stara jednak nie okazywała tego po sobie, uśmie-chała się nawet do ludzi, w obawie, ażeby się kto, broń Boże! nie domyślił, jaką tajemnicę piastuje.

Spokojna była i Anka. I ona się uśmiechała — i miała do tego powód słuszny: czytała bowiem

w oczach dziadka, że „on“ bezpieczny. „On“ stało się dla niej jednoznaczniakiem imienia „Marko“, inaczej Marka w myślach swych nie nazywała. A gdy kto przy niej imię jego wymówił, czuła w twarzy gorąco, jakby ją płomień oblewała. Jednakże spokojna była.

Spokojny był i Hadzi-Petar. Starzec miał może racji najwięcej. Udało mu się wyprowadzić Turków w pole, wprowadzić Marka do miasteczka i ukryć go w domu Jewty-bakalina, człowieka pewnego, z Turkami w dobrych stosunkach pozostającego, tylko pod względem małżonki trochę niedomagającego. To ostatnie jednak wydawało się rzeczą podrzędną. Główną były dobre z Turkami stosunki.

Jewta-bakalin był na całą turecką mahałę dostarczycielem bakali i artykułów handlu korzennego; kajmakanowi i członkom mezliszu sprzedawał taniej niż innym; był ich powiernikiem pod względem tajemnic, odnoszących się do trunków, przez proroka zabronionych, i żył w przyjaźni z kawedżim, który w izbie obrad kawę gotował i na posiedzeniach mezliszu zabierał głos kestra-doradcy. Kir-Kosta miał dla niego względy, tak że, oswoiwszy się nieco z tajemnicami miasteczka, widziało się, że kir-Kosta, kawedżi-Mustafa i bakalin-Jewta stanowili trójkę, pomiędzy którą dzielił się wpływ na sferę urzędową. Ostatni tem się jedynie od dwóch pierwszych różnił, że był Serbem— i dobrym Serbem, chociaż po sobie tego nie pokazywał i pomimo że z rodu należał do Cincarów¹⁾. Przymioty te czyniły dom jego jedynym na schronienie Marka. Hadzi-Petar mu to zaproponował i on od pierwszego słowa propozycję przyjął.

— Tylko, Jewto, wiesz... ani pary!...

— Nie gadaj ty mi, stary, tego... — odparł bakalin.

¹⁾ Cincary, rumuńscy wychodźcy, w Bałkanach osiedleni; trudnią się mularką i handlem.

— A niewiasta twoja?...

— Język utnę, jeżeli piśnie...

Bezpieczeństwo więc było zupełne i Hadzi-Petar miał powody wielce słuszne być spokojnym zupełnie.

Spokojny był i Marko. Było mu u Jewty, jak u Pana Boga za drzwiami. Raport swój napisał, wyprawił i... miał cały czas i nieograniczoną swobodę do rozmyślenia nad znikomością rzeczy ludzkich i różnemi innemi, temu podobnemi, przedmiotami. Prawda, że ta tylko pozostawała mu swoboda. Dom bakalina stał w rynku, naprzeciw konaku i miał dół cały zajęty sklepem korzennym, a na piętrze kilka izb ciasnych i niekoniecznie czystych. Jedna z izb tych oddana została bohaterowi naszemu na użytek wyłączny. Z niej przez dziurkę w pęcherzu, zastępującym szyby w oknach, rozlegał się widok na plac obszerny, z wagą na środku; na konak z rosochatym jaworem przed głównymi drzwiami i z murowaną pod spodem szyją, będącą przedsionkiem do bramy więzienia; na studnię, przy której czasu onego Milenko beja zadusił, na szeregi sklepików, front mehany i wyloty uliczek z rynku w różne rozchodzących się strony. Z wyjątkiem jednak widoku tego, Marko rozrywki nie mógł mieć żadnej. Za domem ogrodu nie było, do któregooby wyjść, posłuchać świegotu ptasząt i świeżem powietrzem odetchnąć można; ale za to sam dom, drewniany, obfitował w żyjątko dwojakiego rodzaju, których nie nazywamy przez wzgląd na przyzwoitość literacką, które atoli, do pewnego stopnia i w pewnym względzie, rozrywki dostarczyć mogły i dostarczały; obfitował także w świerszcze, po całych nocach w szczelinach śpiewające. Z powodu rozrywek tych, położenie bohatera naszego dużo miało podobieństwa do położenia więźnia, różniąc się od tego ostatniego pod jednym szczególnie względem, pod względem staranności, z ja-

ką bakalin-Jewta gościa swego karmił. Kiebaby rodzaju różnego, pilafy, czorby, sarmale, potrawy z rozmaitych jarzyn, wszystko to dawał mu po razy kilka na dzień, stawiając przytem wino kraińskie i dodając za każdym razem garść orzechów, garść rodzyneków, kilka daktyłów, kilka fig, trochę hałwy i rachatłukumu.

— Jedz, pij i nie frasuj się... — powtarzał, stawiając przed Markiem przysmaki — a z moją niewiastą w rozmowy się nie wdawaj.

Przestroga ostatnia była zbyt uczynna. Marko, z natury nie nader rozmowny, nie czuł zbyt wielkiego pociągu do gawędki poufnej z bakalinicą, pozostającą względem męża w stanie wojny nieustającej i pobierającą od niego ciężki w dniu każdym, raz jeden przynajmniej. Bohater nasz słyszał, jak się te odbywały operacje i domyślał się, że to o niego chodzi, Jewta bowiem za uderzeniem każdym powtarzał:

— A język za zębami trzymaj!

To mu także sprawiało rozrywkę niejaką. Zresztą myślał dużo o drogach komunikacyjnych, obchodzących główny trakt turecki, idący doliną Morawy, i o wędrówkach swoich, pomiędzy którymi najbardziej zajmowała go ta, którą odbył w towarzystwie Anki. Był więc spokojny.

Spokojny był i kir-Kosta. Tego spokój wydawał się najgłębszym. Twarzą, oczami nie zdradzał troski najmniejszej. Tydzień spędził, jak spędził wszystkie tygodnie urzędowania swego, z wyjątkiem tej jednej tylko małej zmiany, że w dzień rewizji u Hadzi-Petara opatrzył brzegi Lewaczki i to samo powtórzył na drugi dzień o świcie. Pasterze, co owce na wzgórze wypędzali, widzieli go chodzącego z kijem w rękę, co krok się zatrzymującego i schylającego. Szukał czegoś na piasku i na trawie. Poszedł na drugi brzeg rzeki i ba-

dał rowy ogrodów, płoty i ślady na pulchnej ziemi winnic. Często się zatrzymywał i głową kręcił. Wodził oczami po widnokregu, jakby zapytywał o co nieba. Wkońcu westchnął, laseczką w powietrzu wywinał i do miasta powrócił. Czy odkrył co, czy nic nie odkrył? czy się czego domyślił, czy się nie domyślił niczego? z oczu jego niktby nie wyczytał, Anki nie wyjmując. Tajemnica spostrzeżeń, jakie poczynił, spoczywała w duszy jego, niby kamień na dnie studni. I w duszy to zapewne szukać należało jakichś odmian, które się nazewnątrz nie zdradzały. Jak dawniej, odwiedzał rajasów, utyskiwał na ich biedę i czynił przed nimi półwynurzenia, odnoszące się do ciężaru jarzma tureckiego.

Wszakże przebiegły a bystry spostrzegacz mógłby na Greku dopatrzeć zmian pewnych. Aleby musiał posiadać oko nadzwyczajnie bystre, mające w spojrzeniu miarę i wagę niesłychanie czułe. Zmiana bowiem, jaka zaszła, odbyła się w konchach uszów kir-Kosty, które zrobiły się jakoś pełniejsze, większe i bardziej niż przedtem wydęte. Powiadają, iż organa ludzkie urabiają się i rozwijają odpowiednio do potrzeby. Być przeto może, iż potrzeba natężenia organu słuchu to sprawiła, że konchy uszów kir-Kosty przybrały kształty odpowiednie woli, która tę potrzebę natężyła, rozwinięły się stosownie do akustycznych wymagań, ułatwiających skupianie dźwięków. To bowiem pewna, że kir-Kosta, po powrocie z powtórnej wycieczki nad brzeg rzeki, stał się niezmiernie uważny na wszystko, co się gdzie mówiło. Gdziekolwiek był, a szczególnie na ulicy, nastawiał ucha i wyteżał słuch. Idąc, zatrzymywał się i słuchał. Ludzie przechodzący spostrzegali często znienacka postępującego za nimi tak cicho, że słyhać ni było, jak się zbliżył. Częściej jeszcze przytrafiało się to kobietom.

Podpatrzono także jakąś postać tajemniczą, włóczącą się po ogrodach rajów wieczorną porą i podchodzącą pod domy, kiedy rodziny do wieczerzy zasiadały. Może to jednak było przywidzenie; może to był wytwór przesądnej wyobraźni, skłonnej do wiary w zjawiska nadprzyrodzone. Bądź co bądź, w postaci owej tajemniczej, która się tu i owdzie, ku wielkiemu dzieci i dziewcząt przestrachowi, ukazywała, nikt nie dostrzegł podobieństwa do kir-Kosty. Co jednak nikomu w oko nie wpadło, to to, że kir-Kosta zatrzymał się razą parę przed domem bakalina-Jewty, kiedy Jewta niewiastę tłukł, i szedł stamtąd do Ormianina, co pachnidła sprzedawał, na rozmowę, w niezrozumiałym prowadzoną języku. Zresztą spokojny był zupełnie.

Spokojnymi byli wszyscy serbscy i tureccy mieszkańcy Jagodyny, a najspokojniejszą była ta ich częśćka wyborowa, co władzę najwyższą przedstawiała. Mezlisz zgromadzał się regularnie. Członkowie jego drzemali na ławie i po przedrzemaniu się powracali poważnie do domów, oddając się drzemce dalej, przerywając ją kilkakrotnie w regularnych odstępach czasu jedzeniem i kończąc snem. Turcy, w zwykłym bytowania swego stanie, mają wielkie do węzów boa podobieństwo. Tryb życia państwa, które zbudowali, jest ten sam zupełnie. Rzuca się na zdobycz, obwija ją, zgniata, oślinia, pożera i trawi, zasypiając w czasie procesu trawienia. Wówczas wszyscy śpią — śpią, chodząc, siedząc i leżąc, śpią, nic nie robiąc i coś robiąc, śpią, czynności ważne i nie ważne i urzędy publiczne sprawując. Jest to stan bardzo błogi, wywierający ten skutek, że mężowie, zajmujący w Turcji dostojeństwa wysokie lub obdarzeni przez los zamożnością, rozrastają się wszertz, w rozmiarach gdzie indziej nieznanym. Gdyby nie opjum i haszysz, wysuszające ciała wyznawców proroka, wyższe sfery społeczeństwa mu-

zułmańskiego składałyby się z ludzi otyłości potwornej. Samo atoli używanie tych środków jest dowodem potrzeby snu w narodzie, znającym dwie jeno czynności państwowe: jedzenie i trawienie.

Turcja znajdowała się właśnie w porze trawienia, kiedyśmy bohaterów powieści niniejszej na scenę wprowadzili i tem tłumaczy się dostatecznie ten spokój, jaki w tureckiej części w Jagodynie panował. Wprawdzie dochodziły posłuchy o wojnie jakieś, toczącej się nad Prutem, nad Dniestrem; ale:

Prut?... Dniestr?...

Turcy, zamieszkujący w Jagodynie, nie wiedzieli dobrze: czy to rzeki? czy jary? czy jeziora? czy też miasta lub kraje? Drzemali więc sobie spokojnie.

Drzemali i, drzemiąc, odebrali odpowiedź z Belgradu na raport paszy, przy którym, jak sobie przypominamy, przesłane były paszy mapa i list, zabrane Markowi. Goniec powrócił bardzo prędko. Zazwyczaj podobne ekspedycje potrzebowały do załatwienia czasu rok albo i więcej. Ta zaś załatwiona została w tydzień. Był to wypadek nadzwyczajny i zadziwiający. To też członkowie mezliszu zadziwili się, lecz po turecku... bardzo poważnie. Każdy oczy szeroko otworzył i głową lekko pokiwał — i, zapłaciwszy w sposób ten zdziwieniu dług, powrócił do obojętności dawnej. Cóż bowiem było w tem nadzwyczajnego? Czy nie Ałlach kieruje wszystkim na świecie? Czy dla Ałlacha jest co niepodobnego? Jemu, co świat stworzył i pisze dekreta losu dla najdrobniejszej rzeczy, łatwo było zapisać w księdze przeznaczeń, iż raport, przez jagodyńskiego kajmakana wyprawiony, ma leżeć w kancelarji paszaliuku nie rok, ani miesiąc, ale tylko dzień jeden.

— Ałlach jest wielki, jest potężny... Niemasz Boga, tylko Bóg, a Mahomet jest prorokiem jego...

Z tego stanowiska rozpatrywany, wypadek ten nie

był nadzwyczajnością żadną. Członkowie rady się zeszli, miejsca swoje zajęli i pograżyli się w milczeniu. Posiedzenie nie miało celu innego, tylko wysłuchanie odpowiedzi paszy z Belgradu.

Kitabdži włożył na nos wielkie okulary, poprawił się na siedzeniu, rozciął kopertę, nie tykając pieczęci i, wydobywszy i rozłożywszy arkusz papieru, zapisany na jednej stronie, począł się mu przypatrywać jak obrazowi. Przechylał głowę na prawo i na lewo, oddalał pismo od oczu, to znów je przybliżał, patrzył na nie wprost i zukosa i potem dopiero do czytania się zabrał. Pierwej atoli czytał pocichu. Poznać to było można po ruchu ust i po dźwiękach zgłosek pojedynczych, które się kiedyniekiedy z ust kitabdżego wydzierały. Czytał, miarkował, myślał, aż wkońcu drzemiącym członkom mezliszu dał znak chrząknięciem głósnem.

Chrząknął raz; chrząknął raz drugi i trzeci.

Członkowie mezliszu powieki popodnosili; kajmakan z cybucha pociągnął i kłęb dymu z ust wyrzucił.

Kitabdži zaczął czytać, a raczej bąkać głóсно.

Pisanie paszy składało się z trzech części. Pierwsza była pewnym rodzajem przedmowy, zaadresowanej do kajmakana, tytułowanego „rozumnym, prawym i pełnym godności“; koniec jej zawierał życzenia, ażeby Ałłach użył Alemu-adze wszelkiej pomyślności i długiego życia. Treść drugiej części była mniej więcej następująca:

„Wzięliśmy przed oczy nasze, pełne jasności, papiery, które nam przysłałeś, modry Ali-ago. Piszesz, że papiery te, z których jeden zapisany ohydmem jakimś pismem, a drugi, zasmarowany jakimś znakami i kreskami, mającemi podobieństwo do węzów i batogów, zabrane zostały pewnemu giaurowi-włóczędze. Wolelibyśmy, żeby zabrany został giaur-włóczęga, obciążony kajdanami i osadzony w apsie, jak sprawiedliwość naj-

potężniejszego, największego i najślawniejszego (któremu oby Ałlach długiego udzielił życia!) padyszacha każe, aniżeli te papiery, do których odczytania potrzeba być takim głupim i ciemnym, jak głupimi i ciemnymi są niewierni. Rozkazujemy ci przeto, rozumny, prawy i pełen zacności kajmakanie Ali-ago, ażebyć się więcej podobnemi głupstwami nie bawił. Przypominamy ci przytem poprzedni nasz rozkaz, odnoszący się do imania giaurów i do bacznego czuwania nad rają“.

Część ostatnia była powtórzeniem pierwszej.

Członkowie mezliszu w milczeniu poważnem wysłuchali wymówki tej, wystosowanej do ich przewodnika. Ten ostatni przyjął ją podobnież w milczeniu i z powagą należną. Jeden tylko nieczłonek mezliszu, kawedzi, okazywał w czasie czytania oznaki niecierpliwości, pochodzącej zapewne stąd, że opinja paszy o papierach podkopywała opinję, jaką miano o jego (kawedzego) rozumie. Na to jednak rady nie było. W przekonaniu Turków, od krańca świata, gdzie słońce wschodzi, do drugiego krańca, gdzie zachodzi, nie znajdzie się ani jeden człowiek, coby przypuszczać mógł, ażeby prosty kawedzi miał mieć rozumu więcej, aniżeli pasza. Sam interesowany nie dopuściłby się herezji podobnej, i dlatego kawedzi, gdy kitabdzi czytanie skończył, odezwał się:

— Słowa paszy są słowami mądrości czystej...

A dla uratowania opinji własnej dodał:

— To, co mówiłem o znakach na papierze, odnosiło się do papieru, będącego w posiadaniu derwisza... prawowiernego... Co prawowierny, to nie jakiś giaur... Mądrość giaura jest ciemnotą...

Staął przy kominie, lewą ręką w bok się wziął, a prawą ogień poprawiał.

Kir-Kosta, obecny pytaniu i odpowiedzi paszy, zachował pełne uszanowania milczenie, trzymając wzrok

zawieszony na obliczu kajmakana. Ten ostatni zwrócił na niego oczy i wykonał głową lekki rzut, oznaczający zapytanie. Kir-Kosta zanadto dobrze znał służbę swoją, ażeby potrzebować miał zapytania ustnego. Zrozumiał, o co chodzi, i odpowiedział, głowę pochylając.

— Szukam, effendim, śledzę z gorliwością jak największą... Pomiedzy rają spokój, a co do włóczęgi tego, wiem z pewnością, że z miasta nie wyszedł...

Następny gest kajmakana oznaczał, co następuje:

— Nie wyszedł, ale wyjść może...

— Nie wyjdzie... — odparł Kir-Kosta.

Na tem skończyły się obrady, które trwały godzin trzy. Mężowie, co w nich udział brali, udali się na wypoczynek.

Moglibyśmy naśladować ich i rozdział zakończyć, dając w ten sposób możność wypoczęcia czytelnikowi, który powieścią niniejszą zajmować się raczy, gdyby nie potrzeba rzucenia na opowiadanie nasze trochę światła historycznego. „Trochę“ powiadam wyraźnie, to jest tyle, ile potrzeba do zdania sobie sprawy z osnowy zdarzeń — do zrozumienia naprzykład powodu tego pośpiechu, z jakim pasza belgradzki odpowiedział kajmakanowi jagodyńskiemu.

Żeby całą nadzwyczajność pośpiechu tego zrozumieć, opowiem wypadek jeden z czasów późniejszych, z epoki wojny pomiędzy Turcją a Egiptem. Armja turecka wystąpiła w ubraniu letniem; wojna zaciągnęła się na zimę; komenda naczelnika odniosła się do seraskieratu, z żądaniem ciepłego dla żołnierzy odzienia. Minęła jesień, minęła zima; Ibrahim pasza pobił wojska tureckie, a seraskierat dał odpowiedź na wiosnę, rozkazując, ażeby, przez wzgląd na niskość temperatury... spodnie białe przefarbowano na błękitne.

Jeżeli przeto w okolicznościach takich seraskierat taki okazał pośpiech, cóżto za okoliczności być musia-

ły, które paszę belgradzkiego do załatwienia sprawy odrazu zmusiły!

Były to okoliczności groźne.

Austrja ścigała wojska i posuwała je ku granicom tureckim. W jakim celu? Cel leżał jak na dłoni. Państwo ottomańskie miało na karku wojnę z cesarstwem rosyjskiem. Stosunki polityczne we względzie tak zwanej kwestji wschodniej, nie będącej bynajmniej rzeczą nową — jak się niektórym wydaje — odmienną nieco, aniżeli dziś, miały fizjognomję. Inny był rozkład antagonizmów gabinetowych. Nikomu ani przez myśl nie przechodziło, ażeby Austrja mogła kiedy mieć spólne jakie z Turcją interesa. Mocarstwo to uważano po dawnemu, to znaczy, widziano w niem najazd na Europę, najazd barbarzyński, cierpiany dlatego jedynie, że posiadał potęgę, którą przełamać było trudno. Pokuszenia, jakie we względzie tym czyniono, rozbijały się o spoistość militarnej organizacji tureckiej, czerpiącej siłę moralną w fanatyzmie rodzaju dwojakiego: religijnym i politycznym. Pierwszy i drugi przedstawiał się pod postacią namiętności. Muzułmanie namiętnie miłowali wiarę swoją, taką ponętną! i namiętnie kochali się w podbojach. Spoistość organizacji militarnej, w połączeniu z tą namiętnością dwojaką, czyniła z niej rodzaj lawy wulkanicznej, która się lała i lała i której zatrzymać żadne pojedyncze wystąpienia, żadne sojusze nie były w stanie.

Póty jednak dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Potęga tego, co turecka, rodzaju we własnem łonie słabości zaród nosi. Czem bowiem była spoistość militarna? — formą; czem była namiętność religijno-polityczna? — fikcją. Siła przeto fizyczna potęgi tej, tak długo groźnej i dla tak wielu narodów fatalnej, była czysto formalna; siła zaś jej moralna — fikcyjna. Wystarczyć to mogło na długo, ale nie na zawsze. To

też niepowodzeń trzeba było tylko, ażeby się ona zachwiała; a raz zachwiana, słabnąć coraz to bardziej musiała, stawiając na miejscu, które zajmowała, próżni rodzaj pewien. Ona tam była jeszcze, z nią zaś razem była i próżnia. Jest to fenomen dziwny: spółistnienie panowania tureckiego i nicstwa. Wszystko i nic — razem, spojone związkami małżeńskimi! Każde państwo, jakkolwiek sformowane, posiadało uznanie państw innych, miało jakieś cechy prawowitości, nakazujące je szanować. Państwo tureckie nie posiadało uznania i nie miało prawowitości cech żadnych. Istniało w międzynarodowym względzie jako fakt; nie istniało jako prawo obowiązujące. Stąd państwom innym, a przede wszystkim sąsiednim, chodziło o usunięcie faktu tego i o postawienie na miejsce jego innego, czyli: o wypełnienie próżni sobą.

W epoce powieści naszej państwo ottomańskie było już bardzo słabe. Zdaleka czuć się od niego dawała woń trupia; ale — wyraźnie powiadamy — „od niego“, od państwa ottomańskiego, nie zaś od ziem i narodów, nad którymi się władanie tureckie rozciągało. Ziemie przedstawiały się pod postacią kopalni nietkniętych, nieprzebrane skarby w łonie swoim ukrywających; narody — pod postacią płatników z kieszeniami tak głębokimi, że do ich dna Turcy przez ciąg czterech wieków sięgnąć nie mogli, pomimo że pod względem tym bynajmniej skrupulatnością się nie powodowali.

Próżnia więc, o której wspomnieliśmy wyżej, nie była pozbawiona pewnych powabów i ponęt, zasługujących na to, ażeby się po nie schylić.

Tron cesarstwa niemieckiego zajmował podówczas Józef II, człowiek poglądów szerokich i zdolności niepospolitych. Klęski, zadane Austrii przez Fryderyka Wielkiego, były dla Józefa II podniecią do myślenia o

podniesieniu uroku cesarstwa wewnątrz i zewnątrz. Wewnątrz owocem tej pobudki były reformy, naze-wnątrz była wojna przeciwko Turcji, przedsięwzięta w celu pomknięcia granic państwa w głąb półwyspu Bałkańskiego, jak można najdalej.

Monarcha ten atoli nie rzucił się w wojnę tę na łeb na szyję. Począł na dywersję i nie rozpoczynał kroków zaczepnych, aż się przekonał, że działania wojenne na dobre się nawiązały pomiędzy państwem otto-mańskim a Rosją. A zanim do otwartej przyszło de-klaracji, starał się tak zarządzić, ażeby nic, a przynaj-mniej jak najmniej, na los ślepego puszczać trafu. W celu tym wydobyto z archiwowego opylenia stosun-ki zakulisowe, jakie gabinet wiedeński utrzymywał nie-gdyś z poddanymi Wysokiej Porty — stosunki, dzięki którym osiągnięto pierwsze rzeczywiste tureckiej po-łęgi zachwianie. Mogły więc być one wielce pożytecz-ne; ale zachodziła tu trudność jedna maleńka, którą był *czterdziesto-sześćo-letni pokój*. W przeciągu cza-su tego pozrywało się nitek wiele, wiele stosunków w sieci, pokrywającej dawne posiadłości tureckie. Po-tworzyły się dziury wielkie. Serbja mianowicie, z po-wodu wyznania wschodniego, uzależnionego od patrjar-chatu konstantynopolskiego, mającego dużo ważnych powodów trzymania raczej z Wysoką Portą, aniżeli z gabinetem wiedeńskim, stała się dla tego ostatniego, do pewnego stopnia, rodzajem ziemi nieznaney, tajem-niczej zwłaszcza pod względem usposobienia mieszkań-ców chrześcijan odnośnie do państwa niemieckiego. Nie wątpiono w Wiedniu, że Serbowie Turków nie mi-łują; nie wiedziano jednak na pewno, czy kochają Niemców.

Czy kochają Niemców? — Rzecz się zahaczała o to, co stanowiło właściwie kwestję bardzo podrzędną, gdy-by nie okoliczność, że dwór wiedeński zrozumiał do-

brze korzyść posiadania w czasie wojny sprzymierzeńców pewnych i bezpłatnych, dzierżących w rękach swoich wszystkie komunikacje nieprzyjaciela i mogących działać na jego tyłach. Ta okoliczność kwestję podrzędną czyniła bardzo ważną i nakazywała na miejsce idei „państwa niemieckiego“ podsuwać ideę bądź „chrześcijaństwa“, bądź też „ojczyzny serbskiej“. Zamaskowanie idei jedną drugą tę miało korzyść, że do niczego wyrażnie gabinetu wiedeńskiego nie zobowiązywało. Powierzył rzecz tę sztabowi wojskowemu, ten zaś wydelegował pułkownika Michalewicz, Serba z rodu i z uczuć, powierzając mu sprawę całą. W ten sposób sprawa ta stawała się czysto wojskowa. Dla Serbów atoli, a zapewne i dla pułkownika, miała ona znaczenie inne, donioślejsze i ważniejsze.

Turcy nie domyślać się nie mogli, że, jeśliby do wojny przyszło, gabinet wiedeński użyje sposobu, którego używał zazwyczaj w wojnach poprzednich. Nie byli oni tak dalece ograniczeni, ażeby pojmować nie mieli korzyści, jaką sposób ten przeciwnikom ich zapewnia. Starali się przeto zapobiec temu zgóry, ale tak, ażeby — jak to powiadają — „nie wołać wilka z lasu“, to jest nie dać rai poznać, że ona szkodliwa być może. Z drugiej znów strony chodziło im także o niedanie dworowi wiedeńskiemu pozorów do zrywania stosunków względności sąsiedzkiej. Mając na karku wojnę jedną, nie życzyli sobie drugiej. Z tej to przyczyny wstrzymywali się od wszelkich demonstracyj, mogących mieć wyraźny lub ukryty pozór przygotowań wojennych i ostrożności szczegółowych, odkładając tę rzecz do ostatka. Wojska atoli tureckie gromadziły się powoli w Bośni, w Starej Serbji, w okolicach Niszu, ściągaly się bez hałasu, maskując się spokojem, jaki utrzymywano w prowincjach, bezpośrednio do granic państwa niemieckiego przylegających. W celu to zapewne tem

lepszego zamaskowania przygotowań tych, władze wyższe tureckie nakazały władzom niższym mieć oko na raję i ścigać włóczęgów obcych. Obcy włóczęgowie byli szczególnie niebezpieczni, mogli bowiem być wysłanymi w celach zbadania stanu sił zbrojnych tureckich, tej tajemnicy, która dla stron, gotujących się do wojny, stanowi punkt najdrażliwszy. Jedna dobra wiadomość wyrównywa niekiedy wygranie bitwy. Władze przeto tureckie miały rację jaknajzupelniejszą, zwracając baczenie na przybyszów z lewego brzegu Dunaju, na którym ściąganie się wojsk świadczyło o istnieniu zaczepno - odpornego przymierza, zawartego pomiędzy Józefem II a Katarzyną II. Nie dziw więc, iż pasza belgradzki pośpieszył z rychłą kajmakanowi jagodyńskiemu odpowiedzią.

X.

Widzenia starej majki.

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć, jej przyjście wieszczka odgadnie źrenica“ — powiada poeta, odnosząc i wojnę do szeregu tych samych plag, jaką zaraza jest. I wojnę może wieszczka odgadnąć źrenica, tem nawet łatwiej, że, jak twierdzą podania gminne, nie przychodzi ona nigdy, nie poprzedziwszy się znakami na niebie i na ziemi. Na niebie pojawiają się komety różgami ognistemi straszące, sypią się gwiazdy, pożogi zapowiadające; na ziemi psy wyją, puszczyki jęczą, stada kruków przeciągają nad miejscami pobojuwisk przyszłych. Tak pono bywało dawniej. Obecnie to się zmieniło. Cywilizacja, zerwawszy tajemniczy związek pomiędzy światem cielesnym a światem duchów, spędzić potrafiła prorocze światła z nieba i milczenie na-

kazała psom, puszczykom i krukom. Dawniej jeszcze i umarli mieszały się do spraw ziemskich: cywilizacja i tych w grobach zamknęła.

Ale nie tak bywało dawniej.

Dawniej... Dosyć jednak!... Spostrzegam, iż rozpoczynam — rozprawę o przepowiedniach, a odstępuję od materji powieściowej. Traktat więc urywam, a do powieści wracam.

Doprowadziliśmy ją do przedednia wojny — do tej właśnie chwili, w której pokazać się były powinny: komety z różgami, gwiazdy spadające, psy wyjące, puszczyki wrzeszczące i kruki, za żerem się kręcące. Poszukiwałem śladów tych zjawisk po kronikach i historjach; rozpytywałem o nie na miejscu; starałem się ułoić podania jakieś: — poszukiwania moje, rozpytywania i starania były nadaremne. Nie poszczęściło się mi pod względem tym.

Niewiadomo, czy jagodynianie przeczuwali co i czy im wróżby jakie zapowiadały bliskość początku nowej dla Serbji ery. Z wyjątkiem owej postaci tajemniczej, co przez kilka wieczorów straszyla dziewczynki i dzieci, nie nie zaszło takiego, coby do rodzaju nadprzyrodzonych zaliczyć się dało zjawisk. Jest to bowiem rzeczą zwyczajną, a raczej jest to właściwością tureckiego bytu: gdzie się osiedlają Turcy, tam przebywają i puszczyki. We wioskach najmniejszych i w miastach największych towarzyszą one wyznawcom proroka, jak cień, co za ciałem chodzi. Byle tylko Turcy gdzie zamieszkali, natychmiast głos tych ptaków zlej wróżby rozlega się w powietrzu, mieszając się ze śpiewaniem słowików, skrzeczeniem żab, biciem przepiórek, pianiem kogutów i głosami wszystkimi innymi, biorącemi udział w owym hymnie chóralnym, którym natura brzmi na cześć Stwórcy wszechświata. Nie przyczynia się on wielce do harmonji hymnu, ale za to służy jako

dowód owego pustkowie — owej próżni, o której w poprzednim rozdziale — która tureckie cechuje panowanie. Wiadomo bowiem, że puszczyki lubią pustki.

Śpiewanie przeto puszczyka nie zapowiadało nic — nie wróżyło jeszcze klęski innej nad tę ciągłą, którą stanowiło jarzmo obce, a do której się jagodyńianie już przyzwyczaili potrosze. Woleliby, ażeby nie istniała ona, lecz umieli się do niej stosować jakoś, trzymając się tej praktycznej reguły: „gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleźć“. Leżli więc powoli z żywotem, przepłatając go i urozmaicając pracą, zapewniając im wewnętrzną domową niepodległość, bardzo ograniczoną, bo nie wychodzącą poza obręb rodzinnego kółka, i bardzo względną, bo zależną od kaprysów tureckich, — niemniej jednak miłą, bo przez liczne podzielaną grona. Serbja, zepchnięta z politycznej widowni, ukryła się, że tak rzekę, pod strzechą domową i znalazła tam schron pewny i bezpieczny. Rodzina serbska przedstawiała w zmniejszeniu naród, w całej pełni swej, państwo w państwie, mający za podstawę siłę biernego, nienniej przeto skutecznego oporu, który był całą przyszłości rękojmnią. Co tam się działo na zewnątrz jej sfery, ona to przyjmowała, jak się przyjmuje chorobę, nie uznając tego za stan normalny. „Tak pozostać nie może“ było dla niej pewnym rodzajem latarni morskiej, przyświecającej zdaleka tej nawie olbrzymiej, którą mianowała „otaczbiną“ swoją i na której burza strzaskała rudel, podarła żagle, połamała maszty. Nawa jednak, pomimo to, nie tonęła, światło latarni błyszczało w dal — i rodzina otuchy nie traciła.

Daliśmy już czytelnikowi poznać świętek ów, jakim rodzina serbska była. Tu przeto dodamy tylko, dla uczynienia znajomości dokładniejszą, że świętek ów miał w sobie coś dziwnie uroczego. Ktoś, coby mógł do niego się wkraść w czapce-niewidziance, nie mógłby

nie zachwycić się zgodnością, jaka panowała w gromadce, przedstawiającej społeczność w streszczeniu; nie mógłby nie pomyśleć sobie:

— Jakżeż ludzie ci potrafili stworzyć sobie szczęście w nieszczęściu!

Mówimy tu szczególnie o rodzinie Hadzi-Petara. Niemasz bowiem reguły bez wyjątków i rozminęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy utrzymywać mieli, że w każdej rodzinie serbskiej panowała zgodność doskonała. Zdarzało się rozmaicie. Ludzie nie są aniołami. Lecz co się tyczy domu Hadzi-Petara, było w nim, niby w raju ziemskim, zgodnie, dobrze, zacisznie — o tyle, rozumie się, o ile kaprysy panów kraju nie wносиły weń popłochu. Lecz na podobne wypadki miano wpo-gotowiu, jak widzieliśmy, środki zaradcze. Była to rozmaitość, która nie nadwierała harmonji i nie podkopywała spokoju i szczęścia, malujących się na postaciach starszych i młodszych członków tego światka wielogłowego, któremu życie tak płynęło, jak płyną wody ruczaju, ukrytego w trawach doliny. Coś tam czasem wpadnie; wody się na moment zamać — i znów się oczyszczają — i znów płyną.

Tem „czemś“, co wpadło, było przybycie Marka.

Marka nie stało... — no... i możeby się wody tego ruczaju oczyściły, gdyby nie... wiadoma okoliczność — okoliczność, która z jednej strony dotknęła starą matkę, z drugiej młodą dziewczynkę. Z wyjątkiem atoli dwóch tych osobistości, wszystkie zresztą inne powróciły do stanu dawnego spokoju, tłumaczącego się regularnem i swobodnem działaniem zwyczajnego trybu życia. Dziadek, ojciec i stryjowie Anki pilnowali tego, co Anglicy nazywają „business“, a na co Serbowie mają w języku swoim techniczne wyrażenie: „zanat“. Bracia jej, rodzeni i stryjeczni, którym wiek na to pozwalał, terminowali i praktykowali w rzemiosłach lub

handlu. Matka i ciotki, każda w swoim sposobie, pracowały niby kółka w zegarku. Stana, na przykład, była tkaczychą — pod szopą na podwórzu stał warsztat, na którym wyrabiała płótna i ręczniki dla rodziny całej; bratowe zaś jej i synowice dostarczały jej przedziwa. W sposób ten robiło się wszystko. Jedno drugiemu pomagało, a owoce pracy szły na użytek wspólny. Sama tylko Milewa posiadała przywilej uwalniający ją od pracy obowiązkowej, a to z powodu wieku późnego, starganych sił i osłabionego wzroku. Staruszka stanowiła wyjątek. Nie wymagano od niej niczego, ale za to rodzina cała zachowywała się względem niej z uszanowaniem jak największem i z jak najgłębszą czcią — cała, powiadam, rodzina, nie wyjmując Hadzi-Petara, dla którego stara jego niewiasta była rodzajem pewnym świętości domowej.

— Moja stara — mawiał — napracowała się... niech spoczywa...

Milewa jednak bez zajęcia pozostawać nie mogła. Przyzwyczajona do pracy zamłodu, nie umiała się bez niej obejść na starość. Nie mogąc pracować cieleśnie, zaprzętnęła sobie umysł, zajęła wyobraźnię, oddała się życiu rozmyślań, zasilanych wspomnieniami, uzbieranemi na drodze żywota długiego, i wrażeniami, które silniejszy wpływ na jej umysł wywarły. My zresztą znamy już ją trochę z tej strony.

Owóż ona, jak powiadamy, stanowiła wyjątek.

Zazwyczaj, wstawszy rano, razem z rodziną całą, brała się do jakiejś pracy. Posunęła, pokaszlując, w ten kąt i ów, chciała pomóc coś tej i owej; lecz się prędko przekonywała, że siły nie dopisują jej. Chwytała się wówczas igły lub wrzeciona.

— Och!... oj!...

Ból w krzyżach nie dozwalał jej schylać się nad szyciem, ani rzucać ręką przy przedzeniu. Zaniechać

musiała jednego i drugiego, usiąść, poduszkami obłożona, i nie bez uczucia zazdrości przyćmionym wzrokiem patrzeć, jak młodsze od niej synowe jej i wnuczki, krzątają się, szyją, przędą, piorą, żarna obracają, w stępach biją i t. d. Zazdrość atoli niedługo w sercu jej gościła. Widziała i uznawała w tem wolę Bożą i wola owa służyła jej za punkt wyjścia do tworzenia sobie obrazów, malowanych pendzlem fantazji. Powiedzieć można, iż śniła na jawie, zaciskając ręce, które miała zwyczaj na piersiach trzymać złożone, i, błędząc wzrokiem po niebie, na którym wypatrywała Boga, wzywała go na opiekuna dla dzieci swoich i wnuków, dla swojej Serbji. Od dzieci do wnuków, od wnuków do Serbji prowadziła staruszkę droga prosta. Dodać potrzeba, iż dochodziła do tej ostatniej pod przewodnictwem uczucia wdzięczności za szacunek, jakim ją otaczano. Chciała czemś wynagrodzić rodzinie swojej. Chciała uprosić dla niej u Boga jedynej pewnej przyszłości ich rękojmi, tkwiącej całkowicie w niezależności kraju. Rojenia więc staruszki były nie czem innym, jeno ciągłą, nieustanną modlitwą, obejmującą sferę coraz to szerszą. Modlitwa jej zaczynała się od westchnienia, kończyła na widzeniach.

Tak bywało w czasach zwyczajnych, kiedy pod strzechą Hadzi-Petara życie snuło się trybem regularnym, niby nitka z kłębka rozwijana. Lecz na nitce tej znalazł się nagle węzeł, który staruszkę ze zwykłej wytrącił kolei. Polecenie Fatmy-hanem wprawiło jej umysł w stan chorobliwy, gorączkowy. Każdy kobiety tej wyraz brzmiał jej w uszach, jakby go słyszała nieustannie; każda niemal sylaba zamieniała się w duszy jej w chóry dźwięków nadnaturalnych, których ona nie rozumiała nawet.

Milewa nie potrafiłaby opowiedzieć, czego właściwie małżonka kajmakana od niej chce. Mówiła jej coś

o Marku, o więzieniu, o kluczu do apsu, o drzwiach do ogrodu... mówiła o wytepieniu jej rodziny i tajemnicy. Wszystko to splotło się w umyśle jej w całość jedną z dawnymi, codziennymi jej modlitwami, snami i widzeniami i stworzyło w niej dziwny odmět, w którym migwały się postacie świętych, męczenników, bohaterów, nieboszczyka Hadzi-Wuka, Milenka i tego przybysza obcego, będącego mimowolnym powodem całej tej zmiany. Postacie te przesuwwały się jej przed oczami we śnie i na jawie.

— Marko?... Marko?... — powtarzała sobie w duchu, zadając samej sobie pytania, — dlaczego go Turcy poszukują? dlaczego go Fatma-hanem za rękę wyprowadzić chce?

Pierwsze wydawało jej się straszne, drugie jeszcze straszniejsze. Fatma przedstawiała się jej w postaci szatana, czyhającego na duszę przybysza nieznanego.

— Turczyn gubi ciało, ona duszę...

Zguba duszy Serba! — Czy co okropniejszego być może?... Milewę nietyleby przerażało ukrzyżowanie lub wbiecie na pal. Uważała to bowiem jako stratę na ziemi, lecz korzyść w niebie — jako pomnożenie tego zastępu orędowników, stojących przy tronie Najwyższego i opiekujących się krainą jej. Tłumaczyła sobie opiekę tę po swojemu i dlatego kosztem życia własnego gotowaby była, w razie potrzeby, ratować duszę Marka.

Ta jej atoli gotowość była na nic.

Trzeba było innych szukać sposobów. Ale — jak?... gdzie?... w czym?...

Wyobraźnia staruszki pracowała. Tworzyła obrazy dziwne, coraz dziwniejsze jedne od drugich. Wyobrażała sobie hufce niebieskie, wkraczające do Jagodyny i Michała archanioła na czele, z mieczem ognistym w dłoni wypędzającego Turków. Gdy atoli wyobraźnia

jej spokojniejsza nieco była, gdy się znajdowała w na-
tężeniu stopnia niższego, widziała Milenka wyrzucają-
cego panów kraju z miasta, jak się z gumna wyrzucają
zgniłe snopy przez płot.

— Przyjdzie tu... przyjdzie... — mówiła do siebie
półgłosem.

Anka ją podsłuchiwała i zapytała:

— Kto?...

Staruszka za odpowiedź całą głową pokiwała.

— Przyjdzie... — odezwała się raz głośno, kiedy
*ruczak*¹⁾ zgromadził całą jej rodzinę w grono jedno.

Hadzi-Petar spojrział na nią wzrokiem zafrasowa-
nym nieco; Stana rzuciła napół odniechcienia pytanie:

— Kto, majko?...

— Nie spodziewamy się nikogo...

Milewa się uśmiechnęła, tym uśmiechem, co to
oznacza powątpiewanie co do prawdziwości wyrazów
usłyszanych.

— O niczem, majko, nie wiemy... — odparła Stana.

— Przyjdzie dziś...

— Ta kto?

— Jak słońce zajdzie...

— Któż taki?

Hadzi-Petar patrzył na starą swoją małżonkę wzro-
kiem, w którym się malowało politowanie.

— Przyjdzie... przyjdzie...

— Któż przecie?... — zapytała synowa inna.

Staruszka spojrzała na Ankę. Dziewczyna oblała się
zrazu rumieńcem; lecz wnet rumieniec, niknąc jak
cień od rozchodzącego się pod słońcem dymu, ustąpił
miejsca bladości, która, niby kredowa powłoka, po-
liczki jej okryła. Czy ona co w spojrzeniu babki wy-
czytała?... Cóżby wyczytać miała?... Oczy staruszki

¹⁾ *Ruczak* — obiad.

były, zdawało się, bez wyrazu, przyćmione, mgłą zasłane. Coś jednak Ankę, jak to mówią, w serce tknęło.

Milewa znów głową pokiwała i wymówiła wyraz jakiś, który był wyrazu cieniem, albowiem nie nadała mu dźwięku. Usta jej poruszyły się. Wzniosła wzrok do góry.

Hadzi-Petar ręką machnął i wyrzekł:

— A!...

Ruczak zakończył się w milczeniu. Reszta dnia upłynęła na zajęciach zwykłych. Wieczorem znów się cała zgromadziła rodzina przy wielkiem ognisku, które od komina światło na izbę rzucało.

Staruszka wyjrzała przeze drzwi na podwórze i, zwracając się do Żiwka, zapytała:

— Czemużeś na podwórzu ognia nie naniecił?

— A nacóż to, majko?... — odparł zapytany.

— Aniś koźłęcia nie zarżnął?...

Żiwko nic nie odpowiedział matce. Milewa ścisnęła ramionami, coś sama do siebie mówiła i przy ogniu usiadła.

Stana opowiadała, jak się jej przy tkaniu płótna nici ustawicznie na czółenku rwały.

— Nici się rwały... — rzekła staruszka półgłosem i coś do siebie mówiła.

Rozmowa ogólna wlokła się powoli, zazwyczaj jak pomiędzy ludźmi, co niewiele sobie do powiedzenia mają i, kończąc dzień pracy, zamyślają o spoczynku. Jedno mówi półgębkiem, drudzy słuchali półuchem, a wszyscy patrzyli w płomień, który w komin uciekał. Jedna tylko Milewa spoglądała często ku drzwiom, jakby kogoś oczekiwała.

Miała przeczucie. Inaczej tego wytłumaczyć nie można.

— O!... — zawołała.

Synowie, synowe, wnuki, wnuczki i mąż spojrzeli

i zarazem usłyszeli odgłos chodu, dolatujący z podwórza. Deski na czerdaku zaskrzypiały pod stąpaniem ciężkiem.

— To on...*gle!*... *gle!*...

I palcem na drzwi ukazała.

Wszyscy razem głowy odwrócili.

We drzwiach stała postać wyniosła człowieka, który próg przestąpił i zatrzymał się. Patrząc nań od ogniska, poznać go nie było można. Patrzący się powieki mrużyli, chcąc co prędzej z oczów od płomienia pochodzące olśnienie spędzić; on zaś przez chwilę stał w milczeniu. W końcu odezwał się:

— *Dobro wczé...*

Kilkoro ust złożyło się do wydania okrzyku, którym zapewne było imię przybysza, lecz Hadži-Petar okrzyk ten powstrzymał.

— Psss...

I zapanowały cisza i nieruchomość. Nikt słówka nie rzekł, nikt na miejscu się nie poprawił.

— Nie spodziewaliście się mnie?

— Nie... boga-mi... — odpowiedział Hadži-Petar.

— Czekaliśmy na ciebie... — równocześnie odrzekła Milewa.

— Wyjdźcie i zobaczcie... — kiwnął starzec na synów.

Żiwko i dwaj bracia jego natychmiast wstali i wyszli, w celu obejścia domu dokoła i przekonania się, czy oko jakie ciekawe na nim nie spoczywa.

W izbie tymczasem przybysz witał się z domownikami.

— Jak się macie?...

— Chwała Bogu... A ty?...

— Bogu chwała... — i t. d.

Ta wyrażen powitalnych zamiana odbywała się w ten sposób, że przybysz wciąż stał przy drzwiach.

w cieniu, a z domowników żaden, z wyjątkiem tych, co wyszli, od ogniska się nie ruszał. Działo się to przez ostrożność. Niebawem jednak powrócili Żiwko i bracia jego i zdali sprawę milczeniem. Ponieważ nie mówili nic, a zatem niebezpieczeństwo nie groziło żadne. Hadzi-Petar więc, pozdrowiwszy wkońcu przybysza przez „dobro doszeł“, zaprosił go do zajęcia miejsca w gronie rodzinnem. Domownicy się rozsunęli, robiąc gościowi miejsce obok Milewy, którą on w rękę pocałował.

Staruszka wzięła głowę jego w dłonie i w oczy mu przez chwilę patrzyła.

— Czekaliśmy na ciebie...

— Czyż kto przybycie moje zapowiedział?...

— Czy zapowiedział?... — odparła Milewa, jakby zapytaniem zdziwiona.

I wymawiając wyraz po wyrazie, niby przypomnienia w myśli zbierając:

— Kto?... tak... Byłam w konaku... Kiedy to było?... O... straciłam pamięć... Ktoś mi powiedział: przyjdzie Milenko... Ale, kto?... No... nie pamiętam... Może później sobie przypomnę...

— Majka mówiła, że przyjdzie, ale nie mówiła kto... — podchwyciła z kobiet jedna.

— Mówiłam, że przyjdzie on...

— To źleby było, gdyby kto wiedział... — odezwał się przybysz.

— Nikt nie wie... — wtrącił Hadzi-Petar. — Nikt jej tego nie powiedział... z ludzi...

Wyraz ostatni wymówiony był z przyciskiem uroczystym, tak że słuchaczy dźwięk wyrazu tego przejął pewnym dreszczem lekkim, jakim przejmować zwykły porywające krasomówcy słowa.

— Wiedziałam, że przyjdiesz, junaku...

Tu rzuciła okiem na wnuczkę. Lecz Anka tak się w cień usunęła, że jej widać wcale nie było.

— Nieprawdaż, babo, żem obietnicy dotrzymał?... — rzekł Milenko, zwracając do Hadzi-Petara mowę.

Starzec głową skiwnął.

— Muszę wam jednak odrazu zgóry powiedzieć, że w przybyciu mojem dzisiejszem jest woli mojej trochę, a nie mojej dużo... Moja ściąga się tylko do *kutji* naszej... Ale przyznam się, że dla *kutji* nie byłbym się śpieszył... Chciałem odwiedziny na późną odłożyć jesień... Przyśpieszyłem je dlatego, że mnie tu sprowadza poselstwo ważne, które spełnić muszę natychmiast...

Milewy oblicze taki zachowywało wyraz, jakby świadomą była poselstwa owego, z którym przybywa Milenko.

— Gdzie Marko kapetan?... — zapytał ten ostatni. — Muszę się z nim widzieć jak najprędzej...

— Żiwko!... — rzekł starzec. — *Potreži brzo!*...¹⁾ A oglądaj się... Niech Jewta-bakalin sam z nim przyjdzie...

Ostatnie to polecenie miało swoje właściwe znaczenie. Turcy, w czasach niepokojów, lub w momentach, kiedy potrzebują natężyć ostrożność, mają zwyczaj rozwijać czujność szczególną po zachodzie słońca. Słońce zaszło i każdy mieszkaniec powinien w domu siedzieć. Za bardzo tylko pilnym interesem wolno wychodzić na ulicę, ale do pewnej godziny i nie inaczej jak z latarnią. Patrole krążą od zmierzchu do świtu, po zaułkach czyhają zasadzki. Lecz reguła ta dopuszcza wyjątki mnogie, a naprzód na korzyść tych, co posiadają zachowanie u kajmakana i władz wyższych.

¹⁾ *Potreži brzo* — pobiegnij prędko.

Owóż do ludzi tego ostatniego rodzaju należał Jewtabakalin.

Na rozkaz ojca Żiwko w jednej chwili zebrał się, latarnię zapalił i poszedł.

Hajduk na siedzeniu się poprawił i oczami po izbie i obecnych powiódł.

— He! jakże ja tu dawno był!... Czy się zmieniło co?

— Żal tobie, Milenko, za strzechą spokojną... — odezwała się z kobiet jedna.

— Hm... I żal i nie żal. Mam i ja strzechę nad głową... strzechę tego pałacu, co go sam Bóg zbudował.

— Prawda... — wtrąciła staruszka.

— Nie można mieć mieszkania piękniejszego i wygodniejszego... zwłaszcza przy swobodzie... Czy nie tak, majko?

— Tak, synku... — odpowiedziała zapytana.

— I nie żal mi za strzechą... ale mi żal za wami... Przychodzie mi nieraz na pamięć... Przypominam sobie często mego babę, Hadzi-Wuka, i was wszystkich... Musiało was przybyć... — dodał wesoło.

— A jakżeby inaczej!... — podchwycił Hadzi-Petar. — Postarały się o to i Stana, i Elenka, i Katica...

Wymienione pokolei kobiety, wstydliwie się uśmiechając, oczy spuszczały i głowy odwracały.

— Dzieci, które ja na rękach nosiłem, pourastać musiały...

I nagle zagadnął:

— A mojaż *zarucznicą*... gdzie ona?...

— Anko!... — zawołał Hadzi Petar.

Nie podejmujemy się opisywać tego, co się działo w sercu bohaterki naszej. Musiała tam być burza wielka, straszna. To tylko wiemy, że dziewczyna, usłyszawszy zapytanie hajduka i po tem zapytaniu imię własne przez dziadka wymówione, byłaby nie wiem jaką

ceną okupiła możliwość znajdowania się w chwili tej pod ziemią, głęboko. Gdyby mogła, byłaby się schowała, uciekła. Lecz rozkaz dziadka posiadał potęgę nieprzepartą. Nie nadaremnie wychowywała się w bojaźni Bożej i w uszanowaniu dla starszych. Wychyliła się z za ramion matki, które jej za zasłonę służyły, podała się naprzód postacią całą, zwrócona twarzą ku dziadkowi i pokazała się hajdukowi w pół-profilu, oświecona złotawym blaskiem płomienia.

Gdyby była zalotnicą, wyćwiczoną w rzemiośle wystawiania piękności własnej na pokaz, nie mogłaby lepszej przybrać pozy. Wdzięki jej uwydatniły się w świetności całej, napoty fantastycznej. Blask płomienia odbijał się na jej bladych policzkach i uruchomił je, łamał się w źrenicach jej oczu i nadawał im połysk niezwykły, oblewał jej kibić ognistym światłem i uponętniał ją.

— To ona?... — zapytał Milenko machinalnie, pokazując na nią palcem.

— Prawda, że urosła?... — odpowiedziała Stana.

Hajduk wpatrywał się przez chwilę w postać dziewczyny, jakby w zapomnieniu, czy osłupieniu, które nie znikło jeszcze, gdy już ona za ramiona matki znów się usunęła. Jej już nie było, a on ją jeszcze widział. To trwało chwilę. Wkońcu głośno odchrząknął i zaklął.

Coby ta klątwa oznaczać miała? — odgadnąć trudno. Może służyła ona za swego rodzaju upust dla uczucia hajduckiego.

Chrząknął, zaklął, wąsy rozgladził i rzekł:

— Nie przychodzę ja teraz na wesele... jak widzicie... Hajduk na wesele własne nie przebiera się w odzież sielacką.

Rozłożył ręce i spojrzął po sobie dla pokazania, że był w ubraniu wieśniaczem.

— Teraz nie pora na gody weselne, kiedy inne

wzywają nas gody... Ale przyjdzie pora i na nie... Przybędę po swoją przyszłą z orszakiem mnie i jej godnym i będziemy się weselili i z pistoletów pukali... A póki nie przybędę, pilnujcie jej, jak oka w głowie (tu palcem nawpół za matką widną Ankę ukazał), pilnujcie bowiem narzeczonej harambaszy, który nie żartuje, gdy kocha, nie żartuje, gdy nienawidzi... Spytajcie Turków... A jeśli by kto na nią oczy podnieść śmiał, powiedzcie mu, że mu harambasza Milenko łeb utnie, chociażby się z nią w pałacach sultańskich ukrył.

Uroczysty, a zarazem groźny, krótkiej tej przemowy ton wywarł uroczyste na słuchaczach wrażenie, przejmując ich drżeniem jakiejś dziwnej bojaźni.

— O!... — zaczął Milenko, chcąc mówić coś dalej, gdy wtem szybki chód na podwórzu zwrócił na siebie uwagę przytomnych. Drzwi się otworzyły i we drzwiach ukazał się naprzód Żiwko z latarnią w rękę, a z poza Żiwka wysunął się Jewta-bakalin.

Ten ostatni postąpił kroków kilka, zbliżył się do Hadzi- Petara, padł przed nim na kolana i szyję wyciągnął.

— Co to znaczy?... — zapytał starzec.

— Łeb mi utnij!...

— Co?...

— Bierz nóż lub siekierę i łeb mi utnij!... — Bierz piłę i odpiłuj!...

— Cóż takiego?...

— Hańba na głowę moją... Wstyd!...

Starzec się domyślił i Milenko się domyślił, i wszyscy się domyślili.

— Kiedyż to?...

— Przed chwilą... Przed pół godziną, nie więcej... Żiwko przyszedł i widział...

— Widziałeś?... — zapytał starzec syna.

— Nie widziałem, jak go brali... — odpowiedział zapytany.

— Ale widziałeś, jak niewiastę moją biłem... Biłem, byłbym zabił, gdyby nie Żiwko... I jeżeli ty mi, Hadzi-Petar, İba nie odetniesz, to ją zabiję, a przynajmniej język jej odetnę...

— A mówiłeś... — zaczął starzec tonem wymówki.

— Cóż ja winien? Boga mi!... Robiłem, com mógł, ażeby nieszczęścia nie dopuścić... Biłem ją po trzy razy na dzień...

— Czy wiesz, że to wygadała ona?...

— Czy wiem?... Bóg to wie!... Ale ja robiłem, co do mnie należało, a teraz zrób ty, co należy do ciebie... Utnij mi łeb!

Starzec ręką machnął.

— Niech cię tam Pan Bóg sędzi, Jewto-bakalini... Staraj się, żeby się Turcy nie przyczepili do ciebie...

— Nic mi nie zrobią oni...

— Jakże to było?...

— Otoczyli mój dom, weszli do środka i zabrali... ot, jak było... Naprowadził ich ten pezewenk, ten gogoman, ten łotr, ten łajdak, ten nikczemnik, ten... bodajby ziemia kości jego wyrzuciła!... kir-Kosta... Przyszedł do mnie, niby w gości, na kief... Poczęstowałem go sładkiem, wodą, kawą, cybuchem... a on!...

— Częstujże go i nadal... kir-Kosta jest to wrzód, który okładać trzeba.

— O, co!... — zawołał bakalin — okładać?... kijami!...

— Cóż robić!... my raja... Dla nas niemasz prawdy, ni sprawiedliwości... Taka dola nasza... Znośmyż ją, póki trzeba.

— Niedługo już tego będzie... — odezwał się Milenko, który się scenie całej w milczeniu przypatrywał. — Na Boga!... niedługo... Ale tymczasem jest to nieszczę-

ście wielkie, że Turcy kapetana Marka pojмали... Wojna się zaczyna, a on w niej głową... Turczyn (te wyrazy z mocnym wymówił przyciskiem), majka niegował! odrazu nam głowę urwał!...

Po słowach tych zapanowało milczenie, jakby po odkryciu wielkiej i ważnej tajemnicy, i panowało długo. Słysząc było tylko trzaskanie ognia w kominie i westchnienia, które się to tej, to owej kobiecie z piersi wydzierają. Staruszka w płomień się wpatrzyła i coś do siebie pocichu mówiła.

— Ha!... — odezwał się Hadzi-Petar. — Ty, Jewto-bakalinie, idź i pomyśl, czy nie mógłbyś pochodzić koło kajmakana i głów tureckich... Jeżeliby nowców potrzeba było...

— Napróżno... — rzekła Milewa i ręką machnęła.

Wyraz ten, rzucony przez nią odniechceni niby, mrozem przejął wszystkich. Milczenie powróciło, przerwane niebawem, naprzód przez oddalenie się Jewty, następnie przez udanie się rodziny na spoczynek. Milenko, mający dopiero nazajutrz Jagodynę opuścić, umieszczony został w miejscu bezpiecznym, w ogrodzie w krzakach. Ze smutkiem w sercu każdy zaległ pościel i, męczony zrazu bezsennicą, usnął. ulegając prawom natury.

Tylko w tej izbie, gdzie dzieci pokotem spały, a z dziećmi Milewa i Anka, słysząc było westchnienia i płacz cichy.

Około północy, nim kur zapiał i pora duchów przeminęła, słyszeć się dały wyrazy przerywane:

— Drugie drzwi od apsu... na ogród... klucz... Za rękę wyprowadzi... Za rękę... Na ogród... Piekło.

— Co ty mówisz, stara majko?

Po nocy poznać było, że zapytanie to wychodziło z ust Anki. Brzmiały w niem bojaźń, niepokój i gorączka.

Staruszka nic nie odpowiedziała. Po chwili jednak znów mówić zaczęła:

— Ogród haremowy... Płoty wysokie... Drugie drzwi, a przed drzwiami drzewina bukszanu... Haha...

Jeszcze mówiła i mówiła.

Zapytanie się nie powtórzyło. Lecz, gdy kur załopotał w skrzydła i zapiał, z izby dziecinnej wysunęła się postać ciemna — szła cicho, lekko, mknęła jak duch i znikła w cieniach nocy.

XI.

Cuda w a psie.

Uzucie wtrąconego do więzienia człowieka porównać się da z uczuciem ptaka, spadającego z powietrza na ziemię, ze skrzydłem przestrelonem. Ktoby się chciał przekonać, niech spróbuje... chociaż dobra wola ze strony próbującego odjęłaby wiele doświadczeniu podobnemu pod względem istotnego jego znaczenia.

Ze strony bohatera naszego dobrej woli nie było ani odrobiny.

Właśnie tylko co był po rozmowie z Jewtą-bakaliniem.

— Naco ty tak niewiastę swoją tłuczesz a tłuczesz?...

— Na to, ażeby język trzymała za zębami...

— Daj jej pokój!...

— Oho!... Hadži-Petar powierzył mi ciebie i ja mam cię na głowie swojej!...

Tu się palcem po głowie stuknął i znaczący gest zrobił.

— Cóż to pomoże?...

— Co pomoże?... wiem ja, co pomoże, a co nie.

— Czyż ona gadała?...

— Ja też ją biję nie za to, że gadała, ale na to, żeby nie gadała... Wiem ja, co robię... Pod dachem moim włos z głowy twojej spaść nie powinien i nie spadnie, Boga mi!...

Po zapewnieniu takim Marko nie mógł nie czuć się bezpieczny jak najzupełniej. Zjadł wieczerzę, położył się, światło zgasił i przed zaśnięciem bujał myślami po przestworze bezgranicznym wyobraźni, gdy nagle usłyszał w sieni chód ciężkich stąpań, usłyszał otwarcie drzwi od izby, w której spoczywał, ujrzał we drzwiach blask latarni, a przy blasku tym ludzi kilku w turbanach.

Splunął i zaklął — domyślił się.

Położenie jego miało podobieństwa wiele do położenia myszy w samotrzasku. Jedne drzwi, jedno okno, izba mała, w izbie ludzi kilku uzbrojonych w noże, kina-działy, pistolety i berdysze, on... w pościeli.

— Czy ten sam?... — zapytał z Turków jeden, oświecając twarz bohatera naszego blaskiem latarni.

— Ten sam... — odpowiedział głos z głębi.

— Kir-Kosta, ty się chyba Boga nie boisz!... — odezwał się głos inny. — To przecież człowiek znajomy... kupuje świnki...

Głos ten płynął z ust bakalina.

— Radzę ci, Jewto, nie kłaść między drzwi palca... — odpowiedział ten, do kogo bakalin przemówił. — Wyjść możesz na tem źle, bardzo źle.

— Ale posłuchajno mnie, kir-Kosto... Jest u mnie w *duganie raki*¹⁾ słodka, a mocna... dam Turkom po kieliszku, po dwa,.. i...

¹⁾ *Dugana* — sklep; *raki* — gorzalka.

— Pss... — przerwał kir-Kosta. — To w tym razie nie uchodzi...

Podczas rozmowy tej Turek, co kir-Kościę pytanie zadał, kazał Markowi wstawać. Nie było sposobu nie słuchać. Bohater nasz podniósł się z pościeli i natychmiast pochwycony został przez dwie pary rąk silnych. Szarpnął się i napastników odepchnął.

— Pozwólcieź mi się odziać przynajmniej—krzyknął.

Starszy pomiędzy Turkami skinieniem ręki powstrzymał podwładnych swoich, którzy się już do oręża brali.

Marko się odziać.

— Teraz dalej z nim!... — dał starszy rozkaz. — Związać mu ręce wtył!...

Ręce mu związane i na schody wytracono. Na schodach poprzedzało go Turków dwóch, podczas kiedy dwóch innych szło za nim. Bohater nasz upadł, potoczył się i nie zerwał się na nogi, aż na dole. Ten schodzenia ze schodów sposób niebardzo jest, wyznać należy, przyjemny; ten zaś sposób traktowania więźnia nie daje najlepszego o ludzkości tureckiej wyobrażenia. Na dole jeden z Turków za kołnierz go od odzieży ujął i poszli.

Przejście było niedalekie — tylko przez szerokość placu, obok studni, czyniami Milenka wstawionej. Przy studni Marko wydrzeć się z rąk Turków spróbował i, korzystając z ciemności nocy, a ufny w szybkość nóg własnych, szukać chciał zbawienia w ucieczce. Szarpnął się, wydarł, lecz berdyszem po głowie dostał tak mocno, że ogłuszony uderzeniem przykląkł — i wnet znów znalazł się w rękach ich, a zarazem na plecach i pod żebrami uczuł szturchania kułaków i rękojeści. Nie było rady, ni środka. Ciągniony i popychany, do-wleczony został do drzwi więzienia. Przed drzwiami

temi zatrzymano go na chwilę. Przyszło Turków więcej. Coś pomiędzy sobą krótko pogadali. Jeden z nich otworzył drzwi, przez które wepchnięto bohatera naszego do ciemnego wnętrza.

Marko potoczył się z góry na dół i upadł. Poleżał przez chwilę, nieoprytomniały jeszcze dostatecznie po uderzeniu, jakie przy studni otrzymał; stęknął razy parę, obrócił się i dźwignął. Obejrzał się. Otaczała go ciemność zupełna, ciemność taka, jaką wymarzył lord Byron w poemacie swoim pod tytułem „*Darkness*“. Nic nie widział. Żadne światelko, żaden promyk gwiazdy, najmniejsza błada iskierka nie wpadały do ciemnicy tej. Po więzieniach bywają okienka, przez które widać nieba kawałek; tu i tego nie było. Nic, nic — ciemność sama, cicha i głucha.

— Pii... otożem się dostał!... — rzekł bohater nasz po chwili, kiedy odurzenie przeminęło. — Ha!

I doznał tego uczucia, o którym wspomnieliśmy na czele rozdziału.

I puścił wodze wnioskom, przypuszczeniom i myślom, których punkt wychodni był następujący:

— Turcy nie tacy głupi, jak się wydaje... Podobny jak ja ptaszek, gdyby się dostał w ręce komendy cesarskiej, wisiałby na gałęzi przed upływem godzin dwudziestu czterech...

Przyznać trzeba, iż taki punkt wychodni nie nader był pocieszający. Lecz pocieszenie trzyma się człowieka silniej, niż to sobie wyobrazić można. Nie opuszcza ono skazańca nawet, w śmiertelnej koszuli na plac egzekucji wieszonoego. Nie odbiegło ono i bohatera naszego, pojawiając się w umyśle jego pod postacią zapytania następującego:

— Czy wiedzą Turcy, kogo mają?...

W odpowiedzi przyszły mu na myśl: raport i mapa.

— Zła sprawa!... — pomyślał.

I westchnął.

I znów myślał. Nie rozstawał się z pocieszeniem, lecz przedstawiał je już sobie słabem i bladym, zwłaszcza, gdy przeciwstawił jemu przeszłość własną, zao-
patrzoną w warunki szczęścia w życiu. I powiedział so-
bie to samo, co w położeniu podobnym tysiące przed
nim powiedziało i tysiące po nim powie:

— Ginać tak młodo!

Świat się do niego rajem uśmiechał, rajem, w któ-
rym odrazu, przed oczyma wyobraźni jego, stanęła
urocza postać dziewczyny, znalezionej na drodze, jak
skarb wartości nieocenionej.

— Znalazłem i straciłem...

Westchnął głęboko.

— Nawet czary tej rozkoszy i szczęścia ustami nie
dotknąłem...

Żal go za serce ścisnął.

— At!...

Wstrząsnął głową, jakby zrzucając z niej myśli na-
trętne i szarpnął związanemi wtył rękami.

W chwili tej błyskawicznym sposobem urodziło się
w duszy jego pragnienie: rozerwać więzy. Uradował
się. Znalazł zajęcie — cel bliski, do którego osiągnięcia
dążyć mógł natychmiast, zaprzatając nim sobie zara-
zem ręce i głowę. Zajęcia podobne wielce są pożyteczne
w podobnych położeniach. Marko ramiona natężył.

— Mocny powróż... — rzekł sam do siebie.

Spróbował powtórnie. Uczuł, że mu się sznury
w ciało wjadaly, więc ruchem ramion starał się na in-
ne przesunąć je miejsce. Ruszał ramionami i plecami.
Zrazu praca ta jego żadnego nie dawała wyniku, z wy-
jątkiem zmęczenia. Więc odpoczywał — a odpoczywa-
jąc, robił przegląd miejscowości zapomocą zmysłu je-
dynego, który mu do rozporządzenia pozostawał,
a którym było powonienie. Zapomocą zmysłu tego do

tej doszedł świadomości, że więzienie napelnia woń stęchlizny i wilgoci, zdolna prędko pozbawić człowieka zdrowia na życie całe. Począł rozmyślać nad więzieniami w ogólności, lecz się bawił tem niedługo. Szarpnął powrozy: Osunęły się. Gdyby umiał po grecku, byłby zawołał: *eureka!* — tak go to ucieszyło. Powrócił więc do zajęcia poprzedniego: ruszał plecami, ruszał ramionami, przesuwiał rękami — męczył się, odpoczywał, znów próbował — póty próbował, aż sobie nakoniec ręce wyswobodził.

— Ha!... — odetchnął.

Wstał, wyprostował się i wyciągnął, aż mu kości w stawach głuchym odezwały się trzaskiem.

Podniósł do góry rękę i dotknął sufitu. To podało mu myśl posuwania przeglądu dalej. Postąpił po kroków kilka w jednym i w drugim kierunku i dowiedział się, że się znajduje w miejscu ciasnem, mającem sklepienie murowane i ściany z kamienia.

— Gdyby nie ściany te, możeby się można wykopać...

Próbował mocy murów i znalazł je bardzo słabemi. Kamienie dawały się wyjmować z łatwością.

— Gdyby mnie tu zostawili na dni parę...

I świtać począł w głowie bohatera naszego plan, który się stał dla niego pociechą wielką, przez to już samo, że zajął umysł jego całkowicie. Rozmyślał nad planem tym i wnet go ułożył. Za narzędzia służyć mu miały ręce. Zamierzył wykopać się jak kret. Chodziło mu tylko o to, kiedy do rozpoczęcia pracy przystąpić: czy natychmiast? czyli też poczekawszy, aż Turcy pierwszy raz wezmą go na posłuchanie i pozna, jaki go czeka los? Wahał się, rozmyślał — rozliczał godziny pozostające do dnia — miarkował, iż tej nocy mało ma już czasu do zaczęcia i skończenia roboty takiej — rozważał różne za i przeciw — chodząc wkoło, próbo-

wał mocy ścian w różnych miejscach i gatunku ziemi za kamieniami, które wyjmował i napowrót wkładał— zatrzymywał się, nasłuchiwał, znów chodził, znów się zatrzymywał i słuch natężał. Jedyne głosy, jakie do uszów jego dochodziły, były: miauczenie kota i wołanie puszczyka. Nie siedział jeszcze w więzieniu dość długo, ażeby się miał w głosach tych rozlubować; jednak... uwagę na nie zwracał.

Nagle... stanął, jak wryty.

Zdawało mu się, że usłyszał szmer jakiś, jakiś szelest, jakieś zawiasów skrzypnięcie.

Nie miał jeszcze czasu zapytać samego siebie, co by to znaczyć mogło, gdy wewnątrz więzienia zajaśniało blaskiem światła.

Nie miał jeszcze czasu rozpoznać się w oświeceniu tem, gdy ujrzał przed sobą postać kobiecą.

Wszystko to stało się nagle i niespodzianie — ale najniespodzianejsze ze wszystkiego było zjawisko postaci kobiecej. Marko przypuszczał możliwość śmierci i wolności; przypuściłby był możliwość cudu jakiegoś, naprzykład rozpęknięcia się więzienia wskutek trzęsienia ziemi, ale czegoś podobnego... Zamknął oczy, które mu oślepił blask raptowny, przetarł je dłonią i przez czas ten strzeliło mu w myśli zapytanie:

— Czy to nie zmysłów złudzenie?... czy to nie sen na jawie?...

Przed nim stała kobieta z kagankiem w ręku. Młoda, czy stara? ładna, czy brzydka? — nie był w stanie poznać odrazu. Widział tylko jasność jej uśmiechu i blask jej stroju. Połysk jej oczu miał w sobie coś dziwnego — coś tak mocnego, że bohater nasz, spotkawszy się oczami ze wzrokiem jej raz, już po raz drugi tego nie próbował. Więc trzymał oczy na jej kibici, otoczonej wszystkimi ponętami zalotności Wschodu, zalotności, posuwanej w haremach do stopnia da-

leko wyższego, aniżeli w salonach naszych. Kobieta miała na sobie szalwary fałdziste z materji jedwabnej, a na szalwarach rodzaj jakiejś tuniki z przodu otwartej, z podpinanemi za pas połami, uszytej z ciemnego żółtawego muślinu, nasypanego rzutkami świecącemi. Gdy szła, poły się podnosiły od ruchu powietrza i zdawało się, jakoby iskry leciały za nią i przed nią. Na piersiach stanik od tuniki tej był szeroko otwarty i miał rękawy na wyloty, które nad ramionami i za plecami formowały obłok iskrzysty. Z pod stanika tego wierzchniego wyglądał spodni, złotem szyty, uwydatniający wszystkie ponęty bogato rozwiniętej figury i nie wykradający oczom widza rozkosznego, alabastrowej białości i jędrności gorsu, od którego odbijały się korale czerwone, spięte klamrą połyskującą dżamentami i turkusami. Na głowie w kruczych warkoczach przewijał się sznur pereł, wpeł przykryty fezem czerwonym, od którego kutas suty spływał na ramiona białe.

Była-li ona młoda, czy stara, ładna czy brzydka?—tego, jak wyżej rzekliśmy, bohater nasz odrazu poznać nie mógł; lecz nie byłby w stanie, patrząc na nią jak najdłużej, temu zaprzeczyć, iż otoczyć się potrafiła ponętnością taką, że, jeżeli stanęła przed nim w znaczeniu pokusy, to pokusa owa, o której Ojcowie Kościoła wzmianki czynią, przybierać nie mogła postaci ponętniejszej...

Olśnił Marka blask nagły w ciemności; olśniła go i ta kobieta.

Przyszła, stanęła i z uśmiechem na karminowych ustach zdumionemu i osłupiałemu w oczy patrzyła.

Marko na nią oczu podnieść nie śmiał.

Stali tak długo jedno naprzeciw drugiego; wkońcu ona przemówiła „głosem takim, jakim ciecze słodko strumyk, lutnia brzęczy“.

— Rycerzu mój, nie spodziewałeś się mnie?

Marko na to nic.

— Nie czekałeś na mnie?

Marko ani słowa.

— A jam się ciebie spodziewała, ja na ciebie czekałam... oddawna... oddawna... Widziałam ciebie w snach moich... Widziałam ciebie w moich myślach smutnych... Ilem ja leż za tobą, mój rycerzu, wylała!...

Marko nie wierzył uszom własnym.

Ona chrząknęła, tem chrząknięciem, z którego wydziela się dźwięk jakiś elektryzujący i, po chrząknięciu, mówiła dalej:

— Kiedym widziała orła, krążącego pod słońcem, myślałam o tobie... Kiedym widziała sokoła, szybującego w powietrzu, myślałam o tobie... Kiedy mnie otaczały wonie róż i jaśminów, kiedy mi w uszach brzmiały chóry słowików, myślałam o tobie...

Znów chrząknęła i przez chwilę milczała.

I Marko milczał, z głową spuszczoną.

— Ja cię stąd wyprowadzę...

Marko głowę podniósł.

— Wezmę za rękę i wyprowadzę... i pójdziemy razem, zawsze razem, ja przy tobie, ty przy mnie...

Marko głowę spuścił.

— Ty się dla mnie wyrzekniesz wiary swojej brzydkiej; ja dla ciebie... ja dla ciebie...

Chrząknęła, coś powiedzieć chciała i nie mogła, jakby odwagi jej zabrakło. Zniżyła głos.

— Ja dla ciebie... — jeszcze raz powtórzyła.

— Co?... — zapytał Marko.

Był to pierwszy przez niego wymówiony wyraz.

— Ja dla ciebie Ali-agę, który jest małżonkiem moim, w rzecz martwą... w trupa zmienię... Dam mu napoju takiego, od którego on zaśnie cicho i na wieki, pod skrzydłem anioła śmierci...

Marka lekki przeszedł dreszcz.

Kobieta mówiła dalej:

— A dla nas zakwitnie życie, mój rycerzu, mój orle, mój lwie!... Ty tu poczekaś do jutra do wieczora, ja po ciebie przyjdę... jak tylko Ali-aga zaśnie... On śpi w chwili tej, ale się jutro nie obudzi... I ja przyjdę tu, i wezmę cię za rękę, i wyprowadzę, i pójdziemy, polecimy jak ptaki... i zakwitnie dla nas życie takie, jakie prorok wiernym w raju obiecuje... Bo ja młoda i życia pełna... Popatrz-no ty na mnie...

Głos jej był śpiewny, dźwięczny, srebrzysty, czarujący, do duszy przenikający. Gdyby nie to, co ona głosem tym mówiła, kto wie, czyby bohater nasz miał siłę oprzeć się urokowi, jaki z niego płynął. W uroku tym bowiem było coś słodkiego, łechcącego, a zarazem ognistego i palącego. Pomimo to przejmował on go zgrozą. A jednak, przy wyrazach ostatnich, podniósł głowę i spojrział.

Spojrział i cofnął się.

Turczynka mu w oczach jakby zprzezroczyła. Widział ją przed sobą, uśmiechniętą, świetną, roziskrzoną, a nawskroś, nawylot przez nią ujrzał...

Zmarszczył brwi. Oczom nie chciał wiary dać.

Ujrzał... Ankę.

Zbliżyła się cicho, niby cień. Z ciemności, która w głębi panowała, wychylała się coraz to wyraźniej na jasność, którą kaganek rzucał. Szła prosto, śmiało, milcząca, spokojna a surowa. Zanim Marko z tego zdumienia nowego do siebie przyjść zdołał, była już obok Turczynki, którą, przechodząc mimo niej, łokciem lekko potrąciła.

Ta ostatnia spojrzała. Wyraz trwożliwego przerażenia oblicze jej oblał. Oczy jej się szeroko otwały, usta wykrzywiły, policzki zmarszczyły. Z piersi wydarł się okrzyk:

— *Aman!*...

Uskoczyła w bok, zasłaniając oczy dłońmi, i wypuściła z rąk kaganek, z którego oliwa, rozlawszy się na podłodze więzienia, zapaliła się płomieniem. Zasłoniła oczy dłońmi i ukryła się we framugę, co snać na jakiś odrębny w więzieniu służyła użytek — i nie widziała zapewne, co się stało.

A to, co się stało, było rzeczą bardzo prostą. Anka podeszła do Marka, wzięła go za rękę i rzekła:

— Chodź!...

Wyraz ten, raz już słyszany, zabrzmiał mu w uchu harmonją przecudną.

Postać Anki wydała się bohaterowi naszemu, za przyczyną w części płomienia gorejącego na ziemi, w części nadzwyczajnych zdarzeń, jakie go tej nocy spotkały, jakąś wynioślejszą, dostojniejszą i mniej ziemską aniżeli przedtem. Wyobrazilo się mu, że niby dobry anioł zleciał mu na pomoc, anioł, wobec którego postradał wolę własną. Usłyszał „chodź“ — poszedł — dokąd — nie pytał. Prowadzony za rękę, postąpił kroków kilka i znalazł się w ciemnym i ciasnym przejściu, prowadzącym do góry. Po przebyciu przejścia tego, owionął go chłód powietrza świeżego, napełnionego balsamiczną kwiatów wonią, tak różną od woni stęchlizny więziennej. Wzniósł wzrok do góry — na niebie gwiazdy gasnąć poczynały. Był to przedświt — ta pora nocy, którą Szekspir wybrał na miłosną schadzke Romea z Juliettą. Markoby się może chciał zatrzymać i słówko płomieniste rzec, lecz mu Anka czasu nie dała.

— Chodź!... śpieszmy!...

I wlokła go za sobą pędem pomiędzy drzewa i krzewy, przez jakieś grządki i zarośla, pod jakiś płot ogrodowy.

Płot był wysoki, zwyczajnie jak dokoła ogrodów

haremowych, i gładki. Bohater nasz zrozumiał odrazu, i że droga dla niego i dla Anki, najprostsza i najkrótsza, przez płot ten prowadzi. Zrozumiał oraz, że jemu łatwo będzie przesadzić go, ale — jej? Namyślając się więc niedługo, porwał ją wpół, podniósł jak dziecinę małą, na ramię sobie posadził; ręką lewą ujął wierzchołek płotu, poddźwignął się — i w chwili jednej był już na stronie drugiej, na kamieniami brukowanej ulicy.

Spuścił dziewczynę na bruk i... do piersi ją przycisnął.

Była to chwila ważących się dwojga ludzi losów. I jemu, i jej w oczach pociemniało.

I on, i ona zawrotu głowy dostali.

Świat dla nich znikł, jakby oboje razem, spleceni ramionami, skoczyli w morze płomieniste.

Mogli tak pozostać do świtu: rozkochanym bowiem godziny, dnie sekundami się wydają.

Lecz ona wywinęła się z objęć kochanka, uskoczyła i krzyknęła:

— Chodź!... śpieszmy!...

Pobiegli.

Ulice były puste. Mieszkańcu Jagodyny używali wczasu przededniowego. Patrole nie krążyły: wiadomo bowiem z doświadczenia, zapisanego w poradnikach wojskowych, że czujność wojenna ustaje przed świtem. W miasteczku więc panowała cisza zupełna i tylko rozlegał się w ciszy tej tupot biegu szybkiego, który budził echa okoliczne. Nasi zbiegowie jednak na to nie zważali. Szczęściem dla nich, ze zważających nie było nikogo. Przebiegli więc bezpiecznie z uliczki w uliczkę przez mahałę turecką, wpadli na chrześcijańską, dostali się na dzielnicę, na której stał dom Hadzi-Petara, wpadli w labirynt ogrodów serbskich i biegu zwolnili.

Nie biegli już, ale szli.

Szli jedno obok drugiego.

Dziewczyny ręka spoczywała w dłoni Marka.

Bohater nasz kroczył niby po węglach żarzących. Co chwila utykał, co moment się o gałąź zaczepiał.

Bohaterka nasza zachowywała przytomność umysłu całą.

W razach podobnych — mówimy to nawiasem — wyższość pozostaje zazwyczaj po stronie niewieściej. Płeć męska ulega bardziej aniżeli kobieca miłosnemu, że tak powiemy, zaciętrzewieniu. „Głuszec, gdy tokuje, nic nie słyszy, nic nie czuje“. I nasz Marko podobny się stał nieco do głuszca. Nie dość mu było tego, że szedł z kochanką dłoń w dłoni; pragnął jeszcze coś przemówić do niej — nie wiedział co; chciałby zatrzymać się, stanąć, chciałby otoczyć ją ramionami i ramion tych nie roztwierać nigdy, chciałby wgarnąć ją w siebie, chciałby... sam nie wiedział czego, niepomny na to, że chwilka każda była dla niego drogą, że na każdej ważyło się może życie jego. Lecz Anka o tem nie zapominała i, jakby przeczuciem pragnienia jego i chcenia odgadując, uwlekała go, ciągnęła, nie dawała mu czasu do złożenia ust dla przemówienia. On utykał i zaczepiał się, ona go ciągnęła — i zaciągnęła aż pod czereśnię rozłożystą, rosnącą w ogrodzie Hadzi-Petara.

Zaciągnęła i zatrzymała się.

Marko, korzystając z chwili, oparł się o drzewo plecami i dziewczynę za drugą ujął rękę.

— Stąd już ani kroku dalej...

— Tu czekaj... — odrzekła poszeptem, usiłując dłonie swoje wysunąć z dłoni jego.

— Anko!...

W głosie Marka, zwartym w dwie sylaby, zadzwonił cały miłości bezmiar. Anka zdrząła.

— Rzucić mnie chcesz?... Czyś na to z ciemnicy piekielnej mnie wyprowadziła?...

— Marku!...

I głowę ku piersiom jego pochyliła... I podała się kibicią naprzód, jakby garnąc się w objęcia jego. On dłoń jej puścił, ramiona otworzył, lecz ona... nagle... odskoczyła.

— Marku!... kocham ciebie...

Ile w wyrazach tych było ognia — wypowiedzieć niesposób. Wlały się z powietrza w słuch bohatera naszego, niby płynnej lawy strumień i zalały mu pierś. Odpowiedzieć coś chciał... nie było już do kogo. Anka trzy wyrazy rzuciła i sama znikła. Szeleszczące badyle znaczyły przebiegu jej kierunku. Lecz szelest ucichł wnet i równocześnie, w stronie przeciwnej, przesunęła się wśród drzew postać męska, w której rozpoznać było łatwo Hadzi-Petara. Postać ta przesunęła się i w cieniu się skryła.

Marko ręce na piersiach skrzyżował, głowę zwiesił i głęboko westchnął.

Pozostał pod czereśnią sam w ciszy przedświtowej. Swobodnie rozmyślać mógł nad zdarzeniami nocy, z których każde było nadzwyczajniejsze jedno od drugiego. Nadzwyczajne było uwięzienie, po uroczystem zapewnieniu Jewty-bakalina; nadzwyczajniejsze było pojawienie się w więzieniu nieznanego mu, niewidzianego przez niego nigdy małżonki Ali-agi; najnadzwyczajniejsze było wyprowadzenie go z więzienia przez Ankę. Wszystko to, razem wzięte, pachnęło cudem. I zapewne byłby bohater nasz cudowności zdarzenia te przypisał, gdyby rozmyślać był w stanie. Lecz... gdzie tam jemu do rozmyślania było! W głowie jego wirował odmęt, w sercu pałał ogień. Samotność, w której mu chwil kilka upłynęło, na to się jedynie przydała, że nieco ochłonał i trochę się usposobił do porządkowania wrażeń.

Westchnął powtórnie i ujrzał przed sobą niespodzianie dwie postacie męskie. Nie poznał ich — nie zdziwił się jednak ani zaniepokoił... spodziewał się bowiem nadzwyczajności nowej jakiejś.

Tym razem atoli zawiódł się.

Jedna z postaci ziewnęła szeroko i głośno, druga zaś w następujące odezwała się wyrazy.

— Oto masz... kapetan Marko...

Był to głos Hadzi-Petera.

— Skądże się on wziął?... — zapytała druga postać, głosem Milenka.

— Z apsu...

— Któż go wydostał stamtąd?... — zapytał Milenko powtórnie przewlekłym, sennym głosem, kończąc zapytanie ziewaniem ponownem.

— Anka...

— Anka?... — krzyknął hajduk.

Głos jego zmienił się odrazu. Zabrzmiał w nim syk nadeptanej nogą gadziny.

— Boga-mi, ona... — odrzekł starzec tonem, w którym wahanie się czuć było.

— Ona?... Anka?... — powtórzył Milenko nawpół do siebie. — Kapetan Marko?... Hm!...

Zęby mu zgrzytnęły. Pomilczał przez chwilę.

— E!... teraz nie pora... Porachujemy się później, kapetanie Marku; przynoszę ci zapowiedź wojny i rozkazy od Michalewicza...

Marko, wciąż o czereśnie oparty i ze spuszczoną głową stojący, gdy wyrazy te usłyszał, wyprostował się i od drzewa odstał.

— Wojna, kapetanie Marku!... Dziękuj za nią Bogu... bo inaczej... Boga mi!...

Znów zgrzytnięcie zębami słyszeć się dało.

— Chodźmy!...

Tu na niebo spojrzął.

— Nim się rozwidni, będziemy tak daleko, że na najściślejszym ogierze Turek żaden nas nie dogoni... A gdy się rozwidni, dam ci do przeczytania papier, za który głową odpowiadać się podjąłem... No! dalej, w drogę!...

Marko się jakoś ociągał i oglądał.

— Co?... żal ci... za apsem?...

Wyraz ostatni ironicznym zabrzmiał dźwiękiem.

Marko westchnął z głębi piersi i przeciągle odszepnął:

— Wojna, powiadasz?...

— Za Serbję!... — odrzekł hajduk.

— Ha!... więc dobrze... chodźmy...

Dwie postacie męskie wysunęły się z pod czereśni i wnet w cieniach znikły; trzecia pozostała, a w krzakach odezwało się cichego, tłumionego płaczu łkanie. Tego jednak ostatniego nie słyszał nikt. Jedyne człowiek Hadzi-Petar, któryby go usłyszeć i znaczenie jego zrozumieć mógł, pogrążony był w myślach o wojnie... za Serbję.

XII.

Sprawiedliwość turecka.

Prawdę Milenko powiedział. Nim się rozwidniło, on i towarzysz jego byli już daleko, licząc odległość nie miarą długości, lecz miarą bezpieczeństwa. Odsunęli się od Jagodyny o tyle, że pościg turecki straszny być dla nich nie mógł, tem bardziej, że Turcy nie ścigali ich wcale. Kajmakan pogoni nie wysłał i poszukiwań nie zarządził, dla dwóch powodów: raz dlatego, że się o ucieczce Marka dowiedział za późno, powtóre dlatego, iż dostał wiadomości, które tak były ważne, iż wy-

trąciły mu całkowicie z myśli i pamięci jakiegoś tam włoczęgę.

Dozorca więzienia około dziesiątej rano przypomniał sobie dopiero, że w apsie siedzi więzień jeden. Nie dziw — troskliwość jego odnosiła się do więzienia innego, które się nie wyróżniało nigdy i w którym pakowano ludzi, jak śledzi. O tych pamiętał; o Marku zapomniał... szczęściem nie na wieki. Przypomniał sobie, jak powiadam, około dziesiątej, napełnił wodą dzban gliniany, wziął bochenek chleba czarnego i poniósł apsoownikowi strawę codzienną. Gdyby to nie był Turek prawowierny, toby się był zdziwił bodaj trochę, znalazłszy klatkę próżną. Wyznawca proroka oglądał wszystkie kąty, zajrzał do framugi, opatrzył ściany i drzwi, przekonał się, że najmniejszego nigdzie nie było uszkodzenia, chleb i wodę zabrał, wyszedł i więzienie zamknął. Przed konakiem spotkał kir-Kostę. Pozdrowili się wzajemnie „*sawatachajresem*“ i Grek zapytał:

— Cóż ptaszek?

— Co za ptaszek?

— A ten-że przybędą, którego przyprowadzono od Jewty-bakalina?

Turek ręką machnął.

— Co?... — zawołał Grek.

— Nic... Jakby go nie było nigdy...

Kir-Koście ręce opadły bezwładnie. Ostupiał. Lecz się wnet uśmiechnął sam do siebie. Po chwili sposepniał i coś do siebie sam mówił. Snać w umyśle jego krążyły i zmieniały się przypuszczenia różne, których nie udzielał dozorczy więzienia, wiedząc o tem, że prawowierni nie zabawiają się głupstwami takimi, wierzą bowiem jedynie w czyny dokonane. Pod względem tym dyplomacja mogłaby z nich wzory brać. Przypuszczenie?... co ono warto wobec czynu!... Więzień

uciekł — rzecz skończona. Dozorca więzienie zamknął, klucz za pas wetknął i byłby o zdarzeniu tem nie powiedział nikomu, gdyby go był kir-Kosta nie zapytał. I to bowiem jeszcze stanowi jedną z właściwości powagi muzulmańskiej, ażeby nie gadać, nie będąc pytany.

Kir-Kosta struł się niemal wiadomością, przez dozorcę mu udzieloną. On, umiejący tak dobrze obojętność udawać, tym razem zapanować nad sobą nie umiał.

— Powiedzieć kajmakanowi, czy nie powiedzieć?

Zauważyć atoli potrzeba, że, aniżeli o kajmakanie, więcej go myśl o kajmakana małżonce dręczyła. Zrazu wydało się mu, że to Fatma-hanem była tej zagadkowej ucieczki sprawczynią. Zastanowiwszy się jednak głębiej, odepchnął przypuszczenie to, jako nieprawdopodobne; nie umiał jednak sformułować innego. Bił się z myślami napróżno. Na słońce spojrzął. Słońce było wysoko.

— Uciec musiał przede dniem... jest więc już od godzin sześciu przynajmniej w drodze... A jeżeli z miasta nie wyszedł?...

Głową kręcił, miarkował.

— Nie ukrył się ani u Jewty-bakalina, ani u Hadzi-Petara...

Nie będziemy atoli wszystkich kir-Kosty przypuszczeń powtarzali, wiedząc zgóry, iż były one strzelaniem na wiatr. Poprzestaniemy więc tylko na powiedzeniu, że człowieka tego zacnego mina podobną się stała do miny psa gończego, który trop zgubił i wiatru złapać nie może. Stał przed konakiem, laseczką w ziemi dłuubał, głowę to podnosił, to spuszczał i dziwnej tej sprawy wątku uchwycić nie był w stanie. I byłby tak stał kto wie jak długo gdyby nie dwa zdarzenia, następu-

jące jedno po drugim, jak następują po sobie dwie zwrotki pieśni jednej.

Naprzód z powietrza zwały się mu w słuch wyrazy następujące:

— Będę u Ormianina pachnidła kupowała...

Obejrzał się — nie było nikogo. Zapytał:

— Kiedy?

— Między trzecim a czwartym namazem...

Kir-Kosta się uśmiechnął.

Następnie rozległ się w powietrzu odgłos wrzasku dzikiego, połączonego z mocnym z batoga trzaskaniem.

— Iiiil... hiiil...

Pat... paf...

— Tatar... — mruknął kir-Kosta do siebie.

Tatarami nazywają w Turcji gońców pocztowych, jeżdżących z *kałauzem* (przewodnikiem). Towarzyszący takiemu gońcowi kałauz obowiązany jest krzykiem wielkim i paleniem z długiego harapa dawać znać o przejeździe jego, ażeby mu wszyscy z drogi umykali. Obecnie Tatarzy jeżdżą w dniach oznaczonych, pełniąc regularną służbę pocztową. W epoce powieści naszej jeździli wówczas tylko, kiedy były ważne jakie do przesłania wiadomości.

Krzyki i trzaskanie coraz to się zbliżały i niebawem przyłączył się do nich odgłos tętentu kopyt końskich, a wnet potem z głównej ulicy wypadło na rynek jeźdźców kilku na koniach spienionych, zmierzając wprost do konaku.

Z konaku wysypała się naprzeciwko nich cała podrzędna służba administracyjna.

Jeźdźcy byli od stóp do głowy kurzawą okryci. Kurzawa grubą warstwą osiadła im na odzieży i orężach, na policzkach i brodach — tylko oczy z pod turbanów świeciły. Temu, co na czele jechał, połyskiwał na pierśsiach order z brylantami, oznaka godności wysokiej.

— To nie Tatar prosty... — rzekł kir-Kosta półgłosem. — To czausz.

Rzeczywiście, był to czausz wielkiego wezyra.

Służba poskoczyła do trenzli i strzemion. Ten konia przytrzymał, ów ramię podawał; przysunięto pieniek stojący pod ścianą i konaku i dostojnik spuścił się z siodła, na rękach zniesiony.

Udał się do mustafirłyku, gdzie na niego kajmakan już czekał.

Jeden ze świty jego zażądał natychmiast koni świeżych.

Powstał ruch niezwykły. Po konie posłano wnet, a w mustafirłyku częstowano gościa dostojnego wszystkim, co gościnność turecka posiada najwykwintniejszego. Tatły, woda, kawa, cybuch, szербety, jadła noszono i odnoszono jedne po drugich. Czausz jadł, pił, kurzył i sapał, a obok tego udzielał kajmakanowi rozkazów władzy najwyższej.

— *Kauga...* — od tego zaczął.

Kajmakan się pokłonił: służba wyraz ten, który na polski przetłumaczony znaczy „wojna“, wyniosła na zewnątrz.

— Spahje w pole wyciągną...

Kajmakan znów się pokłonił.

— Wszyscy do oręża zdolni uzbroić się i przygotować mają...

Odnosiło się to jedynie do „wszystkich“ wyznawców proroka.

— Drogi i przeprawy ponaprawiać... U przepraw okopy posypać... Podwody i konie juczne przygotować...

To zaś odnosiło się do rai.

Ostatni rozkaz tyczył się Marka. Czausz nazwał go „tym włóczęgą, przez którego zapisany cudacznem piśmie papier znajdował się przed oczami paszy“, i kazał

mu głowę odciąć i na pal ją na środku miasta wbić. Kazał to uczynić natychmiast, dowiedziawszy się od kajmakana, iż włóczęga rzeczony w więzieniu siedzi.

— Chcę głowę tę na palu oglądać... — rzekł, wyrzucając z ust kłęb dymu.

— *Ewet, effendim...* — pokłonił się kajmakan.

Skinął na onbaszę i dał mu rozkaz... rozkaz, który wykonany został w przeciągu kwadransu niespełna.

W jednej Turcji tylko chyba cuda podobne dziać się mogą.

W przeciągu kwadransu niespełna na środku rynku tkwił pal i na palu tkwiła głowa, blada i krwią jeszcze ociekająca.

Czausz przez okno wyglądał i głową wstrząsnął. Świeże konie były już osiodłane. Wstał więc z dywana, wyszedł, na koń wsiadł i, przejeżdżając stępem przez rynek, zatrzymał się na chwilę przy palu. Klątwę jakąś przez zęby rzucił i kułakiem martwej głowie pogroził, poczem konia ścisnął strzemionami i rzucił go wwał. Tuman kurzawy zakłębił się z pod kopyt i osłonił jeźdźca — a w tumanie tym ozwały się krzyki kałauzów i trzaskanie z batogów.

Powtarzam: cuda podobne w jednej tylko Turcji dziać się mogą.

Ktoby jednak myślał, iż rozkaz czausza posiadał potęgę taką, że sprowadził do Jagodyny bohatera naszego w osobie jego własnej, tenby się grubo omylił. Nie — nie był to Marko, lecz tylko Marka wyręczyciel, wyszukany w sposób bardzo prosty.

Onbasza dostał rozkaz — i rozkaz ten wykonać musiał, bądź co bądź. Cóż rozkaz ów znaczył właściwie? — oznaczał karę za winę, która popełniona została. Poppełnił ją Marko, ale Marka nie było. Miałaż wina ujść bezkarnie, dlatego tylko, iż winowajca uciekł?

Kara w tureckim pojęciu sprawiedliwości znaczy: przykład, groźbę i przestrozę.

Winowajca uciekł, ale wina istniała, a z nią razem i potrzeba zadośćuczynienia sprawiedliwości, to jest istniała połowa istoty czynu najważniejsza, którą należało dopełnić połową drugą, ażeby z jednej strony utrzymać powagę władzy rozkazującej, z drugiej utrzymać powagę sprawiedliwości karzącej. Należało przeto wyszukać kogoś, kogoby można pod winę podciągnąć.

Kogoż mianowicie?

Sprawa ta nie mogła się oprzeć o kogo innego, jeno o kir-Kostę, jako o człowieka najlepiej uświadomionego z całym sprawy Marka przebiegiem.

Kir-Kosta nie namyślał się długo. Miał do wyboru rzeczywistych lub domniemanych — co w oczach takiej jak turecka sprawiedliwość stanowi jedno i to samo — spółwinowajców zbiega, którzy się mu w następującym przedstawiali porządku: Hadzi-Petar, z trzech synów jego jeden, jeden z pięciu jagodyńców, bo czasu onego po sól do Milanowca chodzili, i Jewta-bakalin. Przesunął szybko w myśli swojej postaci ich, każdą z osobna, jedną po drugiej, przy każdej zrobił brwiami jakiś gest niewyraźny, a wkońcu uśmiechnął się i rzekł:

— Jewta-bakalin.

Onbasza choć Turek, wzdrygał się, krok wtył ustąpił i oczy szeroko otworzył.

Kir-Kosta dodał głosem spokojnym:

— Przecież włóczęga ten w domu bakalina się przechowywał...

Na to nie było odpowiedzi możliwej, tem bardziej, iż czas naglił. Czausz czekał.

Onbasza skinął na podwładnych swoich. Drogę miał niedaleką — przez szerokość rynku tylko. Czynienie za winowajcą poszukiwań niepotrzebne było. Ba-

kalin, niczego się nie domyślając, nic nie przeczuwając, stał na progu dugany swojej i przypatrywał się orszakowi dostojnika przybyłego. Onbasza go nie pozdrowił nawet. Dał tylko ręką znak i kawasi, pod ramiona go ująwszy, przez jego własną sień na jego własne wyprowadzili podwórze.

Egzekucja odbyła się bardzo prędko.

— Co to znaczy?... — krzyknął Jewta, ręce wyrrywając.

Bakalinica uśmiechnęła się złośliwie.

— Czego się śmiejesz?... — gniewnie na żonę wrzasnął, podczas kiedy mu Turcy ręce wtył wiązali.

— Tyś mnie bił... — odrzekła kobieta i w chwili tej zbladła jak chusta.

Odpowiadając mężowi, ujrzała, jak onbasza nóż z pasa wyciągał flegmatycznie.

W sercu kobiety tej odegrała się błyskawicznym sposobem cała gama uczucia i odbiła się jej na obliczu. Złośliwy uśmiech zastąpiła bladość przerażenia, przerażenie ustąpiło miejsca wściekłości. Z roziskrzonemi, niby tygrysica, oczami skoczyła na oprawców i pochwyciła za nóż. Niestety! obrona jej okazała się bezsilna wobec przemocy. Na nic również nie przydały się protestacje, tłumaczenia i prośby bakalina. Dwóch przytrzymało szarpiącą się kobietę; dwóch przytrzymało związanego za ręce i nogi i na ziemię zwałonego skazańca, a jeden przykląkł i wykonał operację ze spokojem i flegmą rzeźnika, sprawiającego barana.

Przy operacji całej Turcy zachowywali milczenie zupełne. Zastanowiły ich tylko ostatnie, pod nożem już wyrzeczone przez Jewtę-bakalina słowa:

— Sam tej nocy na siebie wyrok wydałem... Dobrze mi tak!... Boże, przyjm grzeszną duszę moją!...

Oderzniętą, oczami jeszcze łypającą i językiem bełkoczącą głowę wziął onbasza za włosy i wyszedł. Za

nim wyszli i podwładni jego. Przy buchającym krwią tułowiu pozostała rwąca sobie na głowie włosy, kułakami się w piersi bijąca i wniebogłosy wrzeszcząca kobieta.

W sposób ten, bardzo prosty, zadość się stało i sprawiedliwości tureckiej i interesom kir-Kosty. Grek pozbył się spóźzawodnika, dzielającego z nim wpływy w urzędowej sferze społeczeństwa jagodyńskiego.

Gdy głowa Jewty-bakalina na palu utkwiała, na mieszkańców chrześcijańskiej w Jagodynie mahały padła trwoga blada, przychodząca razem z zapowiedzią wojny. Dorazna ta egzekucja dawała niejako przedsmak plagi, zawieszanej nad głowami ludności całej. Wyraz „kauga“, niby jęk bolesny, zabrzmiał w powietrzu, połamał się na echa i zadzwonił w uszach, z ust do ust podawany. Dzieci, przecuciowym wiedzione instynktem, do matek się tuliły, kobiety głośno płakały, mężczyźni patrzyli sobie w oczy wzrokami suchymi, w których malował się w szerokich rozmiarach wyraz zapytania.

Na rynek nikt głowy wychylić nie śmiał. O winę, za którą bakalin gardłem zapłacił, nikt nie pytał: wszyscy bowiem zrozumieli, że w momencie rozpoczynającej się wojny Turcy potrzebowali na ludność chrześcijańską postrach rzucić. Było to ostrzeżenie, które w podobny sposób powtórzyło się w Kruszacu, Kragujewcu, Belgradzie, Smederowie, słowem wszędzie. Co tam... głów kilkanaście!...

Kir-Kosta obojętnie spoglądał na bladą na palu głowę; obojętnie słuchał ehowego chóru jęków powietrzem płynącego; drgnął tylko, gdy wołanie muezzina z minaretu usłysza.

— Namaz!... — zawołał. — Który-to?...

Spojrzał na słońce.

— Czwarty!...

Porwał się z przed konaku, przed którym, przesu-
wając w palcach różaniec, z podgiętymi siedział noga-
mi, i pośpieszył do Ormianina, co pachnidłami han-
dlował. Gdy przed sklep pachnidlarza przechodził, na-
stępujące usłyszał wyrazy:

— Wścieka się...

Głową wstrząsnął i wszedł do izby, w której raz już
widzieliśmy go w towarzystwie Fatmy-hanem.

I tym razem to samo czekało na niego towarzystwo.

Głuchoniema siedziała do ściany przytulona, sta-
rannie w jaszmak owinięta i jakby strwożona, czy
zdziwiona. Fatma-hanem leżała na dywanie. Jaszmak
z głowy zrzuciła, dłonie w kulaki zaciskała, nogami
o materac, niby rozkapryszone dziecko, biła.

Jak skoro kir-Kostę we drzwiach ujrzała, zerwała
się i usiadła.

— Ach! ty, kir-Kosto! kir-Kosto!... ach! ty psie
obrzydliwy!...

— Hanem!... — odrzekł Grek na tę przemowę
słodką.

— Tyś taki, że dotknąć się ciebie rodzona matka
brzydzić się powinna!...

Grek stał z głową spuszczoną.

— Ten pał na rynku... wszak dla niego przezna-
czony był?

Grek milczał.

— A czy wiesz ty, iż gdyby na palu utkwiała była
głowa jego, to zaraz obok, na drugim palu, byłaby
utkwiała głowa twoja?

— Ty wiesz, hanem...

— Ja wściekła!... we mnie piekło gore!... Gdzie on?

— Hanem, będę szukał i śledził...

— Szukaj i śledź, o! szukaj i śledź!... — podchwy-
ciła Turczynka — ale nie jego już tylko samego... szu-
kaj i śledź jego i ją!...

— Ją?!... — odezwał się Grek zdziwiony.

— Ją!... tę, co mi go z objęć wydarła!... O! piekło!...
Pięść do góry zaciśnioną podniosła.

Greki wpadał w podziw coraz to większy.

— Gdybym ją do rąk moich dostać mogła, poszarpałabym w kawałki!... A naprzód palcami wydłubałabym jej oczy!... O! te oczy!...

I wyciągnęła dłonie, pozginawszy palce, naksztalt szponów.

— Poraziła mnie oczami, jak piorunem, że nie wiedziałam, gdzie się ukryć, i wydarła mi go, wydarła!

— Hanem! — podchwycił Grek — stoję oto przed tobą, podziwienia pełen, i nic nie rozumiem. Ten, o którym mówisz, został wczoraj pojmany i do apsu zamknięty. I uciekł. Ja wiem tylko tyle. Ty, zdaje się, wiesz więcej. Racz-że mnie oświecić, ażebym mógł poszukiwanie ułatwić.

— Ciebie oświecić? Gdybym w rękę pochodnię rozpaloną miała, tobym ci nią w oczy cisnęła... Tożbyś się oświecił!... Cha, cha, cha!...

I śmiać się poczęła śmiechem nienaturalnym.

— Chce, żebym go oświecała, kiedy ja sama nie wiem o niczem!

— Będę go szukał i znajdę, jeżeli ty mi powiesz.

— Nie jego tylko samego, ale i ją.

— I ją... — zawtórował Grek. — Lecz odpowiedz mi, hanem, jak to było.

— Jakże być miało! — odparła Turczynka głosem znacznie spokojniejszym. — Ot... tak.

Zająknęła się, nie dlatego, ażeby opowiadać nie chciała, ale dlatego, że w myślach jej zamęt panował taki, iż z niego opowiadania porządnego wysnuć nie była w stanie. Poznał to domyślny kir-Kosta i z pomocą pośpieszył.

— Widziałaś go nocy tej?

— Widziałam...

— Gdzie?...

— W ciemnicy.

— Mówiłaś z nim?...

— Mówiłam. Dźwięk jego głosu słyszałam... dźwięk, który mi w słuch wlał się, niby najśłodszego miodu strumień...

— Byłaś więc w ciemnicy?

— Przecież mówię ci, że była!... — odparła zniecierpliwiona. — Byłam... Weszłam z kagańcem w rękę drzwiami krytymi i znalazłam go na środku. Stałam przed nim; on stał przede mną...

Kir-Kosta z natężoną słuchał uwagą, każdy wyraz — jak się to mówi — pozerając. Lecz Turczynka nie była w stanie opowiadania prowadzić porządnie.

— On stał przede mną... Widziałam go... Co za postać junacka!... Co za wzrost topoli!... Co za wzrok orli!

— Weszłaś przez drzwi kryte i drzwiś za sobą zamknęła?

— Mówię ci, że weszła! Czemuż przerywasz mi?

— I drzwiś za sobą zamknęła? — powtórzył Grek, który w bezładnym opowiadaniu zoczył przewijającą się nitkę, której koniec ująć chciał, ażeby mógł po niej do kłębka dojść.

— Zamknęłam... tak... nie!... przymknęłam. Drzwi zewnątrz zamykają się na kłódkę, a wewnątrz nie mają ani klamki, ani zasuwki.

— Cóż dalej, hanem?

— Ja stałam przed nim z kagańcem w rękę. On stał przede mną ze spuszczonemi w dół oczyma, jak dziewica wstydliva, pierwszy raz do małżeńskiej łóżnicy przywołana... Zachwycający!... Moje oczy pasły się widokiem jego, jak zgłodniała gazella pasie się tra-

wą na łące, świecącej brylantami rosy... Byłabym go zjadła!

Każdy z ust Turczynki wychodzący wyraz nabrzmiał był dziką jakąś namiętnością. Grek spostrzegł, że opowiadająca wątek już traci. Próbował więc ją z błędnego nawrócić toru.

— Cóż on mówił ci?

— On jeden tylko wymówił wyraz.

— Jaki mianowicie?...

— On jeden tylko wydał dźwięk, czystszy od dźwięku słowika, śpiewającego w noc majową, piękniejszy od muzyki komarów, rozbrzęczonych nad jeziorem w porze wieczornej.

— Cóż ona?...

— Wydarła mi go!... — krzyknęła Turczynka gwałtownie.

— Hanem, bądź spokojna.. Odszukam jego i ją, tylko zbierz wspomnienia swoje i opowiedz, jak to było.

Przemówienie to uspokoiło Turczynkę nieco.

— Skąd się wzięła ona?...

— Nie wiem, skąd... — odrzekła zapytana. — Nie słyszałam wejścia jej. Ujrzałam ją nagle...

— Cóż to za jedna?...

— Nie wiem...

— Nieznajoma ci?...

— Nie...

— Stara?... młoda?...

— Nie wiem...

— Widziałaś ją przecie...

— Widziałam tylko oczy jej... Straszne oczy!... Dwa pioruny!... Strzeliły we mnie... powaliłam się i wypuściłam kaganiec z ręki... I potem już nie widziałam nic... Było ciemno... Zostałam sama... Drżałam jak

listek; wyszłam na omacki z ciemnicy... Dzień świtać poczynął...

Opuszczamy ciąg dalszy rozmowy, zapełnionej wykrzyknikami, uniesieniami i pogrózkami, jakie sypnęły się gradem z ust kobiety rozjątrzonej. Kir-Kosta, obelgami obrzucony, wytrzymał burzę ze spokojem, godnym urzędnika tureckiego, i rozstał się z panią swoją w zgodzie jak najlepszej, nie biorąc zbyt do serca uprzejmych obietnic pała, szubienicy i topora, które mi go uczęstowała hojnie. Baba pytlowała językiem; on stał i słuchał, porządkując w myśli te dane, jakich mu udzieliła.

Dowiedział się o wszystkim i nie wiedział nic. Co go najbardziej z tropu zbijało, a zarazem zastanawiało, to kobieta owa, co Marka z więzienia wyprowadziła.

Ta kobieta ćwiekiem mu się w mózg wbiła, naprowadzając go na domysł zmywy jakiejś, istniejącej pomiędzy Serbami i mającej stosunki w konaku. Wyobraziło mu się zrazu, że to z odalisek która wyratowała więźnia.

— To inaczej być nie może... Któż inny mógłby się znaleźć w haremowym ogrodzie i to właśnie w chwili, kiedy hanem drzwi od więzienia otworzyła!... Głupia kobieta! (myślał o małżonce kajmakana) przełękała się służebnicy własnej, która zapewne postarała się o to, ażeby poznaną nie być...

Domysł ten atoli, jakkolwiek posiadający wszelkie prawdopodobieństwa pozory, był domysłem prostym póty, póki by nie poparło go imię własne. Przypuściwszy bowiem, że istotnie jedna ze służebnic Ali-agi uwolniła Marka, to pytanie, która mianowicie?...

— Jak tego dojść?...

Zapomocą śledztwa w haremie... Lecz, ażeby śledztwo zarządzić, potrzebaby o wszystkim uwiadomić Ali-agę i skompromitować przed nim Fatmę-hanem.

Kir-Kosta odrzucił sposób ten, jako niepraktyczny.
— Moznaby wprawdzie śledztwo przeprowadzić przez samą Fatmę-hanem... gdyby jej nie zaślepiła namiętność.

Kir-Kosta sposób i ten odrzucił.

Idąc powoli, w zamyśleniu, od Ormianina, wszedł na rynek, zatrzymał się i na pal spojrział.

Koło pala kręciło się kilkanaścioro dzieciaków tureckich, które grudkami i kamykami na głowę ciskały, wymyślając giurowi, który na nie z góry martwemi patrzył oczami. Śmieszyły je wielce usta otworzone. Usiłowały w nie kamyk wrzucić, wprawiając w ten sposób ręce i serca do służenia kiedyś pożytecznie państwu, którego były obywatelami przyszłymi. Kir-Kosta nie wziął kija i nie rozpędził tej zgrai szczeniąt w ludzkiej postaci, pomimo że widok głowy bakalina wydarł mu z piersi westchnienie.

Kir-Kosta westchnął.

Jakżeżbyśmy radzi byli, gdybyśmy mogli westchnienie to na rachunek zgryzoty sumienia zapisać!...

Niestety! nie zgryzota sumienia wydobyła je z piersi dragomana. Pod względem tym w duszy kir-Kosty panował spokój jak najzupełniejszy. Lecz żał mu się za bakalinem zrobiło, albowiem taka mu w głowie strzeliła myśl:

— Ktokolwiek więźnia z ciemnicy wyprowadził, to Jewta o tem wiedział... Gdyby żył, moznaby od niego wiadomość tę wydobyć.. A tak?... Hm! stało się...

Pomyślał przez chwilę.

— A bakalinica? Może z niej coś wyciągnąć się da?..

Przeszedł powoli przez rynek, zbliżył się do domu nieboszczyka, zatrzymał się i ucho nadstawił. We wnętrzu domu brzmiał przeciągły, nieustający lament:

— Jau! jau!... kuku meni!... kuku lele!

— Co za głupia baba!...—rzekł do siebie i uśmiech-

nał się. — Tłukł ją za życia, tłukł od rana do wieczora, a ona za nim po śmierci jego kuka!... Kukaj-że sobie, aż się wykukasz...

XIII.

Na przeprawie.

Jeżeli dowiedzieć się chcemy, co się z bohaterem naszym stało, opuścić musimy Jagodynę. Wyszedł on — chodźmyż za nim i my.

Wyszedł — ale gdyby go się kto spytał, dokąd i pogo, byłoby mu odpowiedzieć trudno. Znajdował się w usposobieniu umysłu nader dziwacznem. Chwilami przejmowała go nawskroś jakaś rzewność niepojęta — na płacz mu się zbierało; chwilami znów owładał go gniew wielki — chciało mu się coś mieć pod ręką do łamania, tłuczenia, bicia.

Szedł — dokąd? i pogo? wszystko mu tam było jedno. Szedł, bo widział przed sobą postać barczystą i wyniosłą, za którą ruszył z pod czereśni i, raz ruszywszy, już się jej trzymał, nie zdając sobie sprawy, dlaczego czyni tak, a nie inaczej. Dlaczego zaś sobie sprawy nie zdawał? Nie miał na to czasu. Potrzebowałby zastanowić się, pomyśleć. Pomyśleć? Stało się to niepodobieństwem. W głowie Marka taki panował odmęt, iż dla wprowadzenia w odmęt ten porządku jakiego takiego musiałby wypocząć i umysł uspokoić.

Milenko postępował przodem, Marko za nim, niby cień. Szli zrazu śpiesznie, następnie wolniej, trzymając się manowców, na których płątały się ścieżki, co chwila ginące. Milenko jednak o drogę nie pytał. Na manowcach kierował się, jakby na trakcie bitym. Snać

okolica znana mu była doskonale, bo dla połapania się potrzebował tylko głowę podnieść i okiem rzucić.

Ruszyli w drogę o zmroku porankowym i byli widzami narodzin dnia. W oczach ich niebo na wschodzie zarumieniło się jutrzenką, zrazu blado-różową, dalej coraz to czerwiejszą; w oczach ich gwiazdy błądły i gasły, ciemności nikły stopniowo, dzień się przebijal, tumany się z dolin podnosiły, jutrzienka traciła kolory i z poza niej wydobywało się powoli słońce, aż się wytoczyło wielkie, wspaniałe, powitane hymnem przyrody, który się rozdzwonił w powietrzu. W górze szczebiotał skowronek, niżej brzmiały owady, na polach były przepiórki, na łąkach odzywały się koniki polne. Wszystko to śpiewało, zda się, chórem:

— Witaj, słońce!...

A skowronek, zdawało się, zapytywał Milenka i Marka:

— A dokąd-to wy?... czy nie do pracy?...

Marko na zapytania te nie zważał wcale. Milenko jednak, zdaje się, zważał, bo razy kilka oczy na skowronka zwracał, przenosząc je następnie w lewo i wzdając niemi, jakby czegoś na widnokręgu szukał.

Szukał śnać, bo znalazł. Zatrzymał się na wzgórzu i, zwracając się nagle do Marka, rękę wyciągnął, i rzekł:

— Patrz!...

Marko popatrzył, lecz hajdukowi w oczy.

— Patrz, nie na mnie, ale tam!... widzisz?...

W kierunku, w którym szedł Milenka palec-ukaziciel, zarysowywało się wdali kilka wież smukłych, w górę wystrzelonych i błyszczących. Promienie wschodzącego słońca odbijały się od blaszanego ich pobicia, czyniąc z nich niby płomyki opromienione. Spodem widniały bryły białe, mające kształty podłużne, kwadratowe.

— Widzisz?... — zapytał Milenko.

— Co?... — odparł Marko.

— Jagodynę... Przypatrz się jej zdaleka, może po raz ostatni...

— Ostatni? — zapytał Marko tonem, w którym dzwoniło zdziwienie.

— Tak, Boga-mi!... — podchwycił hajduk z przyciskiem. — Patrzyłbyś już na nią oczami trupiem... przebiłbym ci piersi nożem nawylot... gdyby nie... nie... Serbja!...

Marko nie rozumiał znaczenia wyrazów tych.

Milenka oczy gniewem się iskrzyły.

— Tyś mi wszedł w drogę, a ja nie lubię, gdy mi kto w drogę wchodzi... Jeżeli to Turczyn, posyłam mu kulę i koniec... Takiego zaś junaka, jak ty, miałbym ochotę wyzwać na rękę i spróbować się z nim w boju samowtórny... Z tobą jednak nie mogę...

Pomyślał przez chwilę i powtórzył dobitnie:

— Nie mogę!...

I zaklął ciężką klątwą w trzeciej osobie.

Marko, wzrok na jagodyńskich zawiesiwszy miunaretach, słuchał mówienia i klątw Milenka z obojętnością jak najzupełniejszą, pochodzącą stąd, że nie wiedział, iż słowa hajduka do niego się odnosiły. To zachowanie się Marka drażniło Milenka. Widać było na nim, że się powściąga od jakiegoś czynu gwałtownego. Zmarszczył brwi, targnął wąsy, mruczał i po chwili, jakby nagle coś sobie przypomniawszy, sięgnął ręką w zanadrze, wydobywając z za pazuchy chustkę kolorową, w czworograniasty zwitek starannie złożoną.

— Gadałbym ja z tobą inaczej, gdyby nie to... — rzekł, pokazując Markowi zwitek.

Rozwinął. W chustce był papier, złożony w kształcie listu, czerwonym zapieczętowanego lakiem.

— Masz!...

Marko list z rąk hajduka wziął, na pieczęć okiem rzucił i w jednym okamgnieniu się zmienił. Niecierpliwie rozłamał pieczęć, szybko rozwinął ćwiartkę i chciwie przebiegł ją oczyma.

Na twarzy jego widać było odzycie.

Odczytał i na Milenka spojrział.

— Cóż?... — zapytał ten ostatni.

— Mamy nakoniec wojnę...

— To dobrze... To ja już o tem wiem... A także i o tem, że ja, harambasza, pan gór Pekskich i Omołjskich, obowiązany jestem być posłuszny rozkazom twoim...

— Wiesz więc, bracie, o wszystkim, — podchwycił Marko — o czem ci wiedzieć potrzeba... Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko śpieszyć... Chodźmy!

— O!... pss... — zawołał Milenko na Marka, który, wymówiwszy wyraz ostatni, zwrócił się i ruszył.

Marko patrzył mu w oczy wzrokiem pytającym.

— Co innego śpieszyć, a co innego Turkom w ręce leżać... Zobowiązałem się słowem hajduckiem naprzód oddać ci pismo do rąk, a następnie przeprowadzić cię całego i żywego.

— Więc prowadź!...

— Poprowadzę, ale trochę poczekawszy... Mamy się przeprawiać przez Morawę...

— Więc cóż?

— Na wszystkich przeprawach Turcy czuwają.

— Musimy jednak Morawę przebyć.

— Musimy i przebędziemy, ale nie w dzień... Poczekajmy do wieczora i w nocy...

Ruchem dokończył zdania, a ruch ów oznaczał pływanie.

— Ażeby do brzegu Morawy dojść, trzeba przez otwarte przechodzić pole; przepłynąwszy, potrzeba znów iść polem otwartem... Rzecz takich pod okiem

Turków robić nie można przy świetle słonecznym... Turcy byliby radzi, gdyby dostali ciebie i mnie za jednym zamachem... Mieliby dwie w sieci jednej grube ryby... Musimy więc poczekać do zmroku.

Marko brwi zmarszczył i westchnął. Zmarszczenia brwi powodem była zapewne zwłoka; westchnienie musiało mieć inny jakiś powód. Milenko, nie spuszcza-
jąc z bohatera naszego oka, dostrzegł jedno i drugie.

Powiedzieć trzeba, że od chwili odczytania listu przez Marka i zmiany, jaką list ten w nim sprawił, hajduk uczuł wyższość towarzysza swego nad sobą. Póki pierwszy był roztargniony i jakiś nieswój, póty ten drugi zajmował względem niego stanowisko panujące. Lecz dość było jednego wejrzenia, ażeby ich role wnet się zmieniły. Stanowisko panujące przeszło na stronę Marka. Z tego jednak bynajmniej nie wynikało, ażeby w sercu Milenka wygasnąć miał żal, jaki się w niem urodził, gdy w przełożonym swoim znalazł współzawodnika. Żal swoją istniał drogą obok posłuszeństwa, do którego się czuł obowiązany. Można nawet przypuszczać, że tłumiony był tem silniejszy! Wyrażał się w ponurem wejrzeniu i w pewnem mruczeniu, spólnem drapieżnym zwierzętom i ludziom, co, jak Milenko, wyzwolili się z wędzidła praw wszelkich.

— Możemy tu sobie pospać do wieczora... Nie mamy nic do roboty lepszego...

I dając z siebie przykład, legł na trawie.

Marko nie odrazu dobry ten naśladował przykład. Coś nim, że się tak wyrażę, kręciło. Chodził, myślał, zatrzymywał się, ku Jagodynie spoglądał, znów chodził.

Milenkiem także coś kręciło. Legł, lecz nie odrazu zasnął, pomimo że należał do tego rodzaju śmiertelników, co to sen mają na zawołanie. Byłe kułak pod głowę, natychmiast śpią. Tak było zawsze. Tym razem jednak wyciągnął się nawznak, twarzą do słońca, po-

wieki mrużył i zasnąć ani weź. Przewracał się z boku na bok, podkładając pod głowę kułak raz jeden, znów drugi i kłął:

— Tfu!... majka niegowa...

Zauważył Marko ten towarzysza kłopot.

— Przespałeś noc, dlatego spać nie możesz...

— Niby mi to kiedy przeszkadza!... Jak chcę, spać mogę zrzędu trzy noce i trzy dni...

Nie przesadzał. Zdarzają się takie natury szczęśliwe.

Koło południa jednak ziewnął razy parę i zachrapał.

Chrapanie Milenka w zaraźliwy na bohatera naszego podziałało sposób. Jeden zasnął przed południem, drugi po południu i do koncertu koników polnych, którym łąka brzmiała, przyłączył się duet, w którym za instrumenta służyły gardziele dwóch ludzi silnych. Nie zapominajmy o tem, że Marko noc spędził na rozprawianiu się z cudami, co go setnie zmęczyło, i z powodu tego nie dziwmy się, że wspomnienie Anki nie zdołało przemóc potrzeby natury.

Zasnął nieopodal od Milenka, zwrócony twarzą do słońca, które szło sobie dalej drogą swoją codzienną. Owady zleciały się i brzęczącą chmurą zawisły nad uśpionymi. Wężyki, zielone zwierzchu, pstre spodem, prześlizgiwały się i, podnosząc łebki, ciekawie przypatrywały się obliczom, wydającym sapanie, podobne do sapania miechów kowalskich. Gdyby te owady i te wężyki zrobiły donos Turkom, Turcy mogliby przyjść z rozjazdem, jak na przepiórki, nakryć w trawie i złapać dwóch ludzi, których głowy figurowałyby mogły na palach z wielkim dla triumfu ottomańskiego władania pożytkiem.

Lecz muszki i płazy donosu nie zrobiły, bohater więc nasz i Milenko przez nikogo niepokojeni nie byli. Hajduk ocknął się pierwszy. Zerwał się, przetarł dło-

nią oczy i na słońce spojrział. Tarcza słoneczna zapadała już na siniejące na zachodzie lasy, a na ziemi, od wyskakujących w górę przedmiotów, stały się cienie długie.

— Hej!... a no!... — krzyknął. — Dosyć spania!

Marko się zerwał także; także oczy przetarł i spojrział, ale nie na słońce, lecz na minarety jagodyńskie.

Milenko brwi zmarszczył.

— Pora nam w drogę...

Marko wciąż na minaretach oczy trzymał.

— Czego tam patrzysz?... Nie patrz... Tyś mi *czetowozą* do wojny, ale poza wojną, co moje, to moje; i gdybyś ty był nie kapetanem, ale padyszachem, to... daremneby było twoje na Jagodynę spoglądanie... Diewojka jest moją narzeczoną: trzeba, żebyś wiedział o tem...

Marko w chwili tej przypomniał sobie, że przy pierwszym z Milenkiem spotkaniu o diewojce mowa.

— Twoją narzeczoną?... — rzekł tonem zapytania.

— Boga-mi... — odparł hajduk. — Hadzi-Petar przyrzekł ją dla mnie Hadzi-Wukowi na pościeli śmiertelnej.

— Któż to był Hadzi-Wuk?...

— Zapytaj o niego w Jagodynie, a dowiesz się, czy mu przyrzeczenia nie dotrzymać można... Jam ją na rękach wynosił... Ja ją... kocham!

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

— I ja ją kocham... — podchwycił Marko żywo, ale tonem spokojnym i naturalnym.

Kto widział lwa podrażnionego, gdy mu się nagle grzywa zjeża i oczy pioruny gniewu ciskają, ten może mieć wyobrażenie o Milenku, gdy wyraz „kocham“, wymówiony przez Marka, o słuch jego trącił. Czoło mu się w głębokie sfałdowało brózdki, włosy najeżyły, oczy z pod brwi groźnie nasuniętych wściekłością

strzeliły, kulaki ścisnął, zębami zgrzytnął i... westchnął. Nie było to jednak westchnienie zwyczajne, ale raczej krótkie, urwane ryknięcie, podobne do ryku byka rozjuszonego. Szczęściem, przebrany za sielaka, nie miał przy sobie broni żadnej, z którąby mógł natychmiast na przeciwnika się rzucić. Szczęściem również, przeciwnik ów zachować umiał taką zimną krew, umiał mu z takim wyrazem spokoju i wyższości w oczy spojrzeć, że Milenko, w nasrożonej postawie i z zaciśniętymi kulkami, pozostał na miejscu, jak wkopany.

Głową wstrząsnął, przez szeroko roztwarte nozdrza z głębi piersi odsapnął.

— Mmmm!...

Po chwilce się odwrócił i odetchnął.

I uspokoił się.

— To tak — rzekł. — Nas dwóch pozostawać przy życiu nie może. Ja ją kocham i ty ją kochasz... Jabym się śmiał z twego kochania, gdyby nie... gdyby... hm... hm...

Nie umiał wyrazić myśli, wiszącej mu na końcu języka. Nie chciał może wypowiedzieć domysłu, który w chwili tej w głowie jego się urodził: że ta, co wyprowadziła współzawodnika jego z więzienia, wyprowadziła go zapewne dlatego, że jej serce lgnie do niego. Nie znał szczegółów zdarzenia tego; stanęło mu jednak ono nagle w oczach i zmieszało go. Miał jakiś na języku wyraz, a nie mógł wymówić jego. Nie wymówił więc wyrazu tego.

— Tak — rzekł. — Świat szeroki, lecz dla nas dwóch miejsca na nim za mało... Pomiędzy nami stoi Anka i my jej rozedrzeć na dwoje nie możemy... To darmo. Jeden drugiemu ustąpić musi. Ciebie, bracie, nieszczęście pod dach Hadzi-Petara sprowadziło. Jakie лихо cię tam powiodło?...

— Jakie?... — zapytał Marko.

Bywają zapytania, zawierające w sobie odpowiedź. Takim właśnie było to, które zadał nasz bohater.

Hajduk zaklął.

— Ha!... Pomiędzy nami stoi Anka i dzieli nas... Pomiędzy nami stoi Serbja i łączy nas... Komu tu pierwszeństwo należy?...

Popatrzył Markowi w oczy.

— Ha!... Chodźmy... Pora nam w drogę...

Patrzył na słońce, które już się za lasy chowało.

— Nad brzeg Morawy przyjdziemy w sam czas...

Ruszył przodem, Marko za nim. Spuścił się w dolinę, której środkiem płynął ruczaj, i szli w milczeniu brzegiem ruczaju, brnąc w trawie po kolana. Wpoprzek kierunku ich drogi przechodził trakt bity. Milenko się zatrzymał, ucha nastawił i przykląkł, dając znak ręką towarzyszowi swemu, ażeby to samo uczynił. Przyległ następnie i dał w trawę nurka. Zielona łąka zwarła się nad dwoma zbrodniarzami stanu i niebawem na trakcie słyszeć się dał tętent szłapią idących koni i ukazało się jeźdźców trzech. Turbany na głowach, bogata odzież i pistolety z za pasów sterczące znamionowały wyznawców proroka. Milenko podniósł ostrożnie z trawy głowę. Usta hajduckie cichą, ale dobitną uroniły klątwę, po której nastąpiło westchnienie. Po westchnieniu, gdyby kto ucha nastawił, następujące usłyszałby wyrazy:

— Ach! gdybyż mi tu puszką moja... puszką srebrem nabijana... tożtobym spuścił z konia tego, co przodem jedzie!... Zawój tyftykowy, odzież nowiutka, złotem szyta, pistolety perłami wysadzane... O! puszką moja!...

Dla zrobienia sobie jakiej takiej satysfakcji wyciągnął ręce, jakby w nich strzelbę trzymał, i mierzył do Turka na przedzie jadącego, przymrużywszy oko lewe. Mierzył; prowadził za nim, niby lufą strzelby — Tu-

rek przejechał, Milenko zaklął klątwą największą i na nogi skoczył.

— Jak nie potrzeba, to sami człowiekowi w ręce leżał... A jak potrzeba, to zasiadasz, tydzień, dwa i nic... i nic!... Majka niegował...

A do Marka się zwracając, krótko i sucho rzucił mu wyraz:

— Chodźmy...

Przekroczyli trakt wpoprzek i weszli na wzgórze, na pola zbożem zasiane. Szli czas jakiś polami, aż dostali się pomiędzy krzaki, które ich doprowadziły do lasku. Za laskiem odkrył się przed nimi widok doliny obszernej, z połyskującą wdali srebrzyście szarfa.

Słońce zaszło. Ziemię spowijał zmrok wieczorny, coraz to bardziej gęstniejący.

— Widzisz tę smugę jasną?... — rzekł Milenko do Marka.

— No?... — odrzekł ten ostatni.

— To nasza Morawa...

„Nasza“, z przymiśleniem wymówione, miało znaczenie swoje. Jest bowiem Morawa serbska i Morawa bułgarska. Schodzą się one razem powyżej małego miasteczka, zwanego Warwarin i geografja zna dalej jedną już tylko Morawę. Lecz Serbowie mają sobie za punkt honoru stwierdzać przy sposobności każdej, że rzeka, płynąca po połączeniu wód, jest Morawą nie bułgarską, ale serbską, tak jak niektórzy tego są przekonania, że po zlaniu się wód Sawy z wodami Dunaju, dalej ku morzu płynie nie Dunaj, ale Sawa, i mają na to dowody, które może kiedy hydrografja pod rozpatrzenie weźmie. Być może, iż dowody te dowodzą tylko żywości patryjotyzmu nieokrzesanego. Nie jest to jednak sprawa, do powieściowego nadająca się traktowania. Zaznaczam ją i do opowiadania powracam.

Już ciemno było zupełnie, kiedy bohater nasz i Milenko nad brzegiem rzeki stanęli.

— No... — rzekł ten ostatni. — Za jednym zamachem będziemy mieli i kąpiel i przeprawę...

I rozbierać się począł.

Marko jednak nie rozbierał się.

— Cóż ty myślisz sobie, kapetanie Marku?...

— Myślę, co to będzie za przeprawa...

— A no... Pójdziemy wpław... Z odzieży robi się turban i haj...

— Ty umiesz pływać, ale ja nie umiem...

— Uha!... Masz tobie!...

— Nie umiem... — powtórzył Marko.

— A jakżeś ty chciał, ażebyśmy się przeprawili?...

— Łódką... czólnem...

— Ho, ho! to dobre dla ludzi, co chodzą po dniu drogami prostemi, jak się to mówi. Ale dla takich, jak ja i ty...

— Ja całe życie moje chodziłem po dniu, drogami prostemi... — podchwycił Marko tonem, w którym żartobliwość brzmiała.

— To to i źle... — odparł Milenko, w głowę się drapiąc, jak czynić zwykli ludzie frasunku doznający. — Ale nie każdemu dano umieć pływać... Nie każdy pies to potrafi, a nie dopieroż człowiek. Cóż tu robić teraz?... Iść na przeprawę do Głodowca albo do Cziupriji?... i daleko i niebezpiecznie... Hm... hm...

Zamyślił się na chwilę.

— No?... — rzekł, jakby postanowienie jakieś powziąwszy.

— Cóż?... — zapytał Marko.

— Rozbieraj się...

— Ale ja pływać nie umiem...

— To nic. Rozbierajno się...

— Ale cóż będzie?...

— Nie pytaj... Wiem ja, co będzie... W tem już głowa moja... Rozbieraj się tylko prędko, bo czas ucho-
dzi, a mamy przed sobą szmat drogi do zrobienia...

— Chybaż tę drogę beze mnie będziesz robił, bo ja pójdę na dno jak kamień, skoro tylko na głębię się do-
stanę...

— To znaczy, że masz głowę ciężką... Z takimi głowami bywają konie, ale na to jest rada... Takiego konia uwiązuje się krótko do ogona takiemu, co ma głowę lekką, i płynie... Popłyniesz i ty... Morawa ma prąd silny przy tamtym dopiero brzegu... Rozbieraj się i daj mi odzież swoją...

Przekonany argumentami temi, Marko zrzucił z siebie wszystko, co miał na sobie i znalazł się wkrótce w stroju takim samym, w jakim chodził praojciec nasz, Adam, w raju, przedtem nim Ewa pokosztowała owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Milenko ze swoich i jego rzeczy, przy pomocy pasa, sformował rodzaj czapy ogromnej, którą sobie na głowie uwiązał. Skończywszy tę robotę, wziął Marka za rękę i w wodę go wprowadził. Kiedy webrnęli wyżej pasa, przywiązał go do siebie plecami do pleców, a gdy Marko za-
pytał, czemu go raczej piersiami do swoich pleców nie obraca, taką mu dał odpowiedź:

— Żebyś rękami po wodzie nie chlapał i mnie za rękę nie chwycił.

Przeszedł jeszcze kroków kilkanaście i spłynął.

Marko leżał nawznak, twarzą do nieba zwrócony.

Na niebie świeciły miljardy gwiazd. Księżyc był jeszcze nie zszedł, więc się iskrzyły na szafirowem tle całą siłą promieni, mieniając się i migocząc, jak mru-
gające oczęta swawolnej dziewczyny. W powietrzu pa-
nowała cisza jakaś poważna, przerywana niekiedy świstem skrzydeł kaczek przelatujących, lub gęganiem dzikich gęsi w sitowiacz nadbrzeżnych. Zresztą, za-

den się nie odzywał głos. Gwiazdy świeciły, niebo szafirowe, wspaniałe, poważne, zdawało się, że duma nad zdjętą snem ziemią; przez Morawę płynęli dwaj rywale.

Zrazu Markowi położenie jego wydało się dziwne. Wyobraźmy sobie w podobnem położeniu siebie. Nawznak dobrze leżeć na przestrzeni, dającej punkta oporu na prawo i nalewo, ale nie na krawędzi, z tą świadomością, że na prawo głębia i na lewo głębia. Umiejącym pływać woda daje punkt oporu; lecz dla naszego Marka była ona mokrą bezdnią, w której doznałby tego samego losu, jakgdyby był do suchej wrzucony studni. Musiałby pójść na dno, z mniejszym tylko pędem. Skutek byłby ten sam, z tą różnicą, że w studni byłby się zabił, tu zaśby się zalał. Ta świadomość uczyniła go drażliwym w pierwszej chwili, gdy Milenko na wodzie się położył i ręce wyciągnął. Ruszył się, jakby równowagi szukając. Lecz hajduk go upomniał:

Leż cicho!... nie kręć się tam!... Patrz sobie na gwiazdy... i nie zważaj na to, choć ci się woda w uszy naleje... A nie pij wody!... Wolisz się napić winca po kąpieli... Wodę zostaw dla gęsi... Oprzyj mi głowę na karku i leż cicho...

Marko wyciągnął się, ręce złożył i gwiazdom się przypatrywał.

Gwiazdom się przypatrywał, ale nie o gwiazdach myślał. Zastanowił go ten hajduk, ten pół-dziki człowiek, który przed chwilą powiedział, że świat jest szeroki, ale dla nich dwóch miejsca na nim niema, i który w chwili tej służył mu osobą swoją za statek przewozowy. Zastanowiła go osobliwość ta; lecz nie był w stanie myśleniem głębiej w nią wnikać, czując ton wodną, łechcącą mu ramiona i boki. Marko był odważny; uczucie jednak, jakiego doznawał, należało do tego rodzaju, iżby go można o bojaźń pomówić — o bo-

jaźń nie śmierci, ale wywrotu. Pochodziło to z nerwów, drażnionych nienaturalnością położenia. Gdyby leżał piersiami, byłby spokojny zupełnie. Umiał jednak panować nad sobą. Zęby zacisnął, ręce złożył, w gwiazdy patrzył i leżał, bacząc na to tylko, aby się nie ruszać.

Płynęli.

Gdyby się kto przypatrywał z brzegu, widziałby na zwierciadlanej powierzchni rzeki, nad odbitem w jej głębi niebem i drżącymi gwiazdami, przesuwany się jakiś przedmiot czarny, niekształtny, bryłowaty. Zdało się, że bryłę tę woda unosi.

Morawa, w miejscu zwłaszcza przeprawy podróżnych naszych, nie jest nader szeroka. Z szerokością atoli rzeki dzieje się tak, jak z odległością przedmiotu na stepie widzianego. Wydaje się blisko, a potrzeba iść długo, ażeby do niego dojść. To samo i z Morawą. Stanąwszy na jednym brzegu, zdaje się, że dość kilku ręki rzutów, ażeby się na drugi dostać. Lecz to złudzenie. Płynąc, płynąc potrzeba długo, tem bardziej, że unoszący ukośnie prąd czyni drogę wodną dłuższą dla przebywających rzekę wplaw.

Rozgartywał Milenko silnem ramieniem wody Morawy, sapiąc i parszając. W miejscu, gdzie przepływał, woda wydawała głuchy szum, połączony z cichem pluskaniem. Pluskanie pochodziło stąd, że nie był to pływak w szkole pływania uczony i nie trzymał rąk pod wodą, jak metoda każe, lecz je kolejno nawierzch jedną po drugiej wydobywał, garnąc mokry żywioł pod siebie. To go męczyło. Lecz Milenko należał do tego rodzaju ludzi, których zmęczyć niełatwo. Utrzymał się więc na wodzie doskonale, pomimo ciężaru, jaki dźwigał na sobie, i posuwał się wciąż naprzód, przestrzegając od czasu do czasu towarzysza:

— Leż równo i spokojnie... nie ruszaj się!...

Aż dopłynął do prądu głównego. Uczuł go pod sobą. Pozwolił mu nieść się przez jakiś czas, myśląc, że go do brzegu zbliży; lecz spostrzegłszy, iż się ku środkowi rzeki zagina, krzyknął na Marka:

— Trzymaj się cicho i pochyl się trochę na lewo!

Odsapnął z siły całej, natężył się, ramię daleko przed siebie wyrzucił, starał się pod siebie dłonią zagarnąć masę wody jak największą, zmienił nieco kierunku — woda go uniosła: podniósł głowę wyżej i znów się natężył — jeszcze nurt panował nad nim; pasował się z nim długo nadaremnie. Zawadzał mu Marko, który go do dna tłoczył. Gdyby go zrzucił, wypłynąłby natychmiast. Lecz myśl podobna ani mu w głowie powstała. Płynął, walczył, parł się i... wypłynął.

— Uuuch!... — odetchnął z głębi piersi.

W chwilkę potem dna nogami dostał i Marka odwiązał.

Na brzegu przeciwnym bohater nasz dłoń mu na podziękowanie uściśnął.

— I!... — rzekł hajduk, ubierając się. — Jeżeli komu dziękować masz, to nie mnie... Pomiędzy nami stoi dziewojka, która nas dzieli, i Serbja, która nas łączy... Dla dziewojkibym cię utopił... Ale Serbja więcej warta... Jej więc za to podziękuj...

XIV.

F r a j k u r y .

Rozpoczęła się tedy wojna pomiędzy cesarstwem niemieckim a państwem ottomańskim.

Z historji wiadomo, jaki ona obrót wzięła. Zrazu górą byli Turcy. Przekroczyli Dunaj, weszli do Bana-

tu i parli przed sobą cofające się na wszystkich punktach wojska cesarskie. Lecz następnie szczęście opuściło zwycięzców. Cesarscy przerzucili ich na lewy brzeg Dunaju; marszałek Laudon obległ i zdobył Belgrad; Serbja cała prawie od Turków oczyszczona została.

Taki był przebieg działań wojennych, rozpatrywanych z tego punktu wysokiego, z którego na podobne rzeczy zapatruje się oficjalizm dziejowy, mający zwyczaj, po odegraniu dramatu krwawego, zwanego wojną, spuszczać kurtynę i pokazywać publiczności i potomstwu samą tylko kurtynę — same tylko rezultaty sumaryczne, opromienione sztucznem światłem teatralnem. Na kurtynie owej występuje sława z wielkimi skrzydłami i wielką trąbą, zasłaniając sobą szczegóły bolesne, które, pokazane w nagości ich całej, zdolneby były sławie skrzydła połamać i trąbę rozbić.

Turcy odznaczali się zawsze w prowadzeniu wojny bezwzględnością. Jak tylko do boju występują, natychmiast tracą do szczytu pojęcie o tem, co się godzi, a co się nie godzi. Godzi się wszystko! Armja pozwala sobie na wszystko, bez względu, czy się znajduje w kraju swoim, czy w nieprzyjacielskim.

I kraj cały okrywa się jednym smutku całunem, dzwoni jednym chóralnym bóleści jękiem.

Wsie się wyludniają. Mieszkańcy uciekają w lasy. Żołnierz w opuszczonych osadach gospodarzy, rozwała i pali.

Biada mieszkańcom, których władze zachwyć zdołały! Idą oni na posługi armji i służą nie wedle własnej możności fizycznej, lecz stosownie do wymogów zastępów wojujących, to jest do ostatka tchu. Wzgląd na to, żeć to przecie ludzie, ustaje w żołnierzu tureckim; wzgląd na to nawet, że to zwierzęta, nie ma wartości najmniejszej. Zwierzęciu daje się jeść i pić.

Rai nie daje się nic, a używa się go do wszystkiego. Raja w czasie wojny uważa się za coś od zwierzęcia podlejszego.

Władze tureckie jednak przestrzegają różnic pewnych. Inaczej traktują sielaków, inaczej mieszczan. Ci ostatni używają względów niejakich; rozciąga się nad nimi pewna opieka, a to z tej przyczyny, że po miastach i miasteczkach ześrodkowują się rzemiosła wojsku przydatne. Turcy mają rozwagi tyle, iż nie zabijają kury, która jaja niesie. Z przyczyny tej miasta nie wyludniają się w tym stopniu, co wsie, te zwłaszcza, które los rzucił w pobliżu traktów, na których odbywają się główne ruchy wojenne.

Z tem wszystkim, tak po wsiach jak po miastach, tak w pobliżu traktów jak dalej, ludność, na pierwszą o wojnie wieść, przedsięwzięrze natychmiast środki ostrożności, biorąc — że się tak wyrażę — czucie de gór i lasów. Trzody się odpędzają jak najdalej, produkta odwożą i w ziemi kryją; rodziny upatrują sobie miejsca odludne a bezpieczne, w których przysposabiają wszystko do złych czasów przeczekania.

W Jagodynie, po przejściu trwogi pierwszej, jaką rzuciła wieść o wojnie, powstał ruch, podobny do wewnętrznego wrzenia wody, póki kipiątek nie zburzy jej powierzchni. Pozornie nibyto panował spokój. Ra-je kłaniali się Turkom pokornie i udawali o niczem niewiedzących, niczego się niedomyślających. Pod pokrywką jednak pokory tej czynnie i skrzętnie zajmowali się zabezpieczeniem osób własnych i wynosili się cichaczem, wyprawiając za miasto sprzęty kosztowniejsze, pieniądze i zapasy żywności. Każda rodzina posiadała kryjówkę swoją. Promieniem półtoramilowym dokoła miasteczka zakreśliwszy krąg, na przestrzeni kręgu tego odbywały się w różnych miejscach roboty, któreby przyrównać można do tych, jakim od-

dają się krecy lub bobry. Tu, na sposób kreci, ryto się w ziemi; tam, na wzór bobrów, wznoszono tymczasowe budowle z kamieni lub drzewa. A wszystko to szło cicho i szybko — tak, że po upływie dni kilku powrócił do miasteczka spokój rzeczywisty. Już się nie lękano o bezpieczeństwo własne, a przynajmniej obawy zmniejszyły się znacznie.

Turcy zaś tymczasem jawnie i otwarcie do wojny się przysposabiali. Spahisy montowali się, zbroili i wyciągali.

Upłynęło tygodni parę i poczęły przeciągać wojska, nad Dunaj podążające. Szły, albo raczej płynęły, niby rzeka wezbrana: piechota, jazda, artylerja, wlokąc za sobą długie, bez końca niemal, szeregi wozów, koni jucznych, mułów i wielbłądów i tłumy biednej rai, przeznaczonej do poganiania wołów i bawołów, do dźwigania ciężarów, do kopania rowów, do sypania grobli, do rąbania drzewa, do urządzania przepraw, do poprawiania dróg i do usług tym podobnych. Jeżeli sprzężaju przy jakiej harabie, wiozącej przybory wojenne, zabrakło, w razie takim bez ceremonji zaprzęgano rajów. Rajów również obowiązkiem było noszenie lektyk z paszami. Toż z przyczyny tej osobliwie ludzie młodzi mieli się na baczności, chwytano ich bowiem wszędzie, gdzie się chwycić dało, po wsiach i po miastach.

Z Jagodyny młodzież znikła wraz z pierwszym pojawieniem się czoła kolumn tureckich.

Pod dachem Hadzi-Petara pozostały tylko dzieci, kobiety i Hadzi-Petar. Synowie, którzy byli mężami dojrzałymi, i wnuki, pomiędzy którymi paru mogłoby się już nadawać do posług wojennych, wynieśli się i zabrali ze sobą strzelby pod połami. Każda niemal rodzina serbska miała zbiegów podobnych. Była to jednak prosta ostrożność. Zbiegowie ci bowiem, nie-

zorganizowani i nieprowadzeni, nie mieli żadnych zamiarów zaczepnych, ani też wyraźnie nieprzyjaznych. Wielu z nich nawet nie umiało, jak należy, z bronią się obchodzić. Wynieśli się zaś ze strzelbami dlatego jedynie, ażeby nie dać się w razie wypadku wziąć pierwszemu lepszemu Turkowi, ażeby mieć się czem obronić jednemu, dwom, trzem napastnikom. Zresztą, nie odbiegali oni zbyt daleko. Wpobliżu Jagodyny można ich było znaleźć wszystkich, rozsypanych, niby zajęte pod miedzami. Jeden miał norę, w której siedział, drugi ukrywał się pod skałą, trzeci w gąszczach, czwarty w rozdołach, ten za schronienie obrał sobie górę, ów — dół, a byli i tacy, co, w otwartem trzymając się polu, śledzili obroty kolumn i oddziałów tureckich i do nich się stosowali — słowem, każdy ze zbiegów kierował się własnem poczuciem samozachowawczem, bacząc na to, ażeby nie wpaść w ręce władzy, mianującej się nie nieprzyjacielską, lecz prawowitą, i urządzającej od czasu do czasu obławy, w celu schwywania poddanych, niemających ochoty pełnić czynności mułów i ginąć śmiercią głodową.

Od czasu do czasu, w tej lub owej stronie miasta, występował szereg jeźdźców, rozsypanych na sposób flankierów, i przetrząsał okolicę. Niekiedy, zamiast jeźdźców, wychodzili piesi na wyprawy tego rodzaju. Zwykle powracali z niczem; lecz bywały wypadki, że przyprowadzili z sobą jednego, dwóch rajów, pędzonych na postronku. Bywało tak, że przynosili głowę, przy siodle przytroczoną. Zdarzało się to wówczas, jeżeli zoczony uciekał i nie było sposobu doścignąć go inaczej, jak przy pomocy kuli z janczarki, w pogoń za nim posłanej. Bywało jednak i tak, że raja na wystrzał wystrzałem odpowiadał i Turek się z konia zwinął. Turcy jednak sami tego unikali, nie przez tchórzostwo, którego im zarzucić nie można, lecz dlatego,

ażeby nie zachęcić rai do prowadzenia oporu podobnego na skalę szerszą nieco. Z przyczyny tej z jednej strony w dokuczaniu mieszkańcom przestrzegano pewnej powściągliwości, z drugiej — w obławach na zbiegów zachowywano pewną ostrożność. Robiono obławy wówczas tylko, kiedy się spodziewano skutku pomyślnego i kiedy były po temu siły rozporządzalne. To ostatnie zdarzało się dość rzadko. Wojska tureckie przewalały się za Dunaj i po przejściu ich, kiedy niekiedy tylko nadciągały oddziały pomniejszych, bądź śpieszące za armją główną, bądź też konwojujące transporty amunicji lub efektów wojskowych.

Po przejściu wojsk i po wyciągnięciu w pole spahisów, pod rozkazami kajmakana jagodyńskiego pozostawały siły bardzo niedostateczne do grożenia rai skutecznie. Siły te jednak dostatecznymi były z tego względu, że raju w tej swojej części, któraby władzom ambaras sprawić mogła, zachowywała się biernie.

Bywała o tem często na posiedzeniach mezliszu mowa, zawsze jednak sprawa rozstrzygała się w sposób jednakowy.

Kir-Kosta oznajmił, że niebezpieczeństwo nie zagraża żadne.

Kawedzi tłumaczył, że od czasu, jak świat światem nigdy jeszcze nie widziano, ażeby zające wojowały z myśliwymi. Tłumaczenie to tak było naturalne i taką dla Turków miało w sobie siłę przekonania, że kajmakan, członkowie mezliszu i wszyscy wyznawcy proroka, których wiek lub urząd w Jagodynie zatrzymywały, byli jak najzupełniej pod względem zbiegłych rajów spokojni.

Nawet umknięcie Marka spokoju im nie mąciło. Kajmakan wytłumaczył sobie wypadek ten w sposób nader prosty i naturalny, a przytem czysto turecki:

— Umknął? tak przeznaczenie chciało... Na miej-

sce jego głową Jewta nałożył? tak chciało przeznaczenie.

Z wolą jednak przeznaczenia nie zgadzała się Fatma-hanem; niecierpliwiła się, rzucała, lecz się wszystko to na nic nie przydało. Kir-Kosta przekonał się, że Marko znikł i słuch o nim zaginął, i udzielił wiadomości tej kobiecie rozdrażnionej.

— Pójdę za nim! — krzyknęła.

— Hanem!... — odpowiedział kir-Kosta, patrząc na nią wzrokiem znaczącym.

Turczynka w płacz uderzyła i włosy sobie na głowie targała.

Nie było jednak rady. O Marku słuch zaginął.

— Pójdę za nim!... — krzyknęła w Jagodynie kobieta jeszcze jedna; lecz kobiety tej krzyk był wewnętrzny, — żadne ucho go nie słyszało i dlatego zapewne więcej miał w sobie szczerości i stanowczości.

I ten jednak krzyk przebrzmiał bez skutku, rozbił się o szkopuł niepodobieństwa.

— Iść za nim?... w którą stronę?... dokąd?...

Skończyć się więc musiało na tem, że się nieobecnego widywało... oczami duszy: to pochylonego nad pisanie na czerdaku, to siedzącego w trawie i odpowiadającego na zapytania Stany i ciotek Anki, to stojącego w apsie w oświeceniu kaganka Turczynki, to nareszcie znikającego w tumanach mgły przedporankowej, w towarzystwie hajduka.

— Gdzież ty, miły mój, gdzie?... — jęczał głos jakiś w piersi dziewczyny rozkochanej, przygniatanej troskami i drobiazgami życia powszedniego, pędzonego w warunkach niepowszednich.

Ojciec się ukrywał; ukrywali się stryjowie i bracia.

Zdarzały się wypadki, w których cała Hadzi-Petara rodzina wynosić się musiała na dni kilka i pędzić żywot koczujący.

Śród okoliczności takich możnaż było myśleć o opuszczeniu ojca i matki, dziadka i babki, braci i sióstr i o gonieniu w świat za zgubą więcej niż prawdopodobną? A nużby Turcy gdzie ujęli!

Dziewczynę ogarniała niekiedy rozpacz jakaś bezimienna. Wiedziała bowiem tylko o rzeczy jednej: o tem, że kocha... — wszystko zaś, zresztą, było dla niej tajemnicą i zagadką — zagadką, której rozwiązania napróżno czekała od babki. Znajdowała u niej jednak pocieszenia trochę. Staruszka w jasnowidzeniu swoim przewidywała lepsze dla Serbji czasy i mówiła o nich.

— Bóg miłosierny... — powiadała — On się nad nami zlituje.

Synowie, do domu się niekiedy wkradając, przynosili złe wieści o pomyślnych oręża tureckiego postępkach.

Staruszka głową kiwała i mówiła:

— Bóg dopuszcza, wkońcu się jednak zlituje.

Hadzi-Petar nie mówił nic. Uwolnienie Marka za sprawą kobiety jego wywarło na jego umysł wrażenie silne. Miał Milewę za istotę zostającą pod błogosławieństwem łaski Bożej i wiedzącą o rzeczach, o których zwyczajnym śmiertelnikom wiedzieć nie jest dano. Według wskazówek jej Anka drogę do apsu znalazła.

— Bóg się zlituje nad Serbją.

Anka wysnuwała z tego wnioszek następujący:

— Jeżeli się Bóg nad Serbją zlituje, to zachowa Marka, który się gdzieś za Serbję bije.

O Marku jednak słuchu ani wieści nie było przez miesiąc, przez dwa miesiące, przez trzy, przez cztery — przez całą połowę roku, w ciągu której tak rodzina Hadzi-Petara, jak Jagodyna cała, żyły w ciągłym oczekiwaniu, w ciągłym niepokoju i w ciągłym rozdwoje-

niu: połowa słaba, niewinna i dziecinna pod strzechami domów swoich, połowa silna, męska na wygnaniu, w zajęczem rozproszeniu.

Wojna wrzała wciąż... za Dunajem, pomyślna dla zastępów tureckich, a zatem smutkiem przejmująca Serbów.

Aż razu pewnego nagle smutek ten rozjaśnił się błyskawicą radości i nadziei, które się wzięły nie wiedzieć skąd.

Czy wiatr je z nieba przywiał?

Brzęknął w powietrzu wyraz jeden:

— Frajkury...

Był to wyraz cudzoziemski, którego znaczenia nie rozumiał z Serbów żaden, a każdy go sobie pocichu powtarzał, lękając się, ażeby nie doszedł do uszu tureckich. Wkradł się on do Jagodyny nie wiedzieć jak i napełnił serca otuchą. może dlatego, że niezrozumiały był. Starcy rozpogodzili oblicza stroskane, kobiety uczuły w piersiach ulgę jakąś. Ci, co w mieście byli, zapragnęli podzielić się radością z tymi, co się za miastem ukrywali.

Cóż się jednak stało?

Rzecz dziwna i nadzwyczajna! Ci ostatni posłyszeli wyraz ten w tymże samym czasie, co i tamci.

— Czy wiecie?

— Wiemy...

— O czym?...

— Frajkury...

— O! teraz dopiero będzie z Turkami źle.

I tak to przez czas jakiś pozostało. Przepowiednia nie sprawdzała się, a wyraz wciąż brzmiał, niby rodzaj pobudki, budzącej nadzieję. Brzmiał i czynił rajów zuchwalszymi — zuchwalszymi o tyle, że ten i ów odważył się przenocować w domu, że ten i ów nie schował się przed spotkanymi muzułmanami. Zuchwalstwo ta-

kie nie mogło władzy w oczy nie wpaść. Kir-Kosta słu-
chał i patrzył. Stary kajmakan głową kręcił. Członko-
wie mezliszu pod nosem kłątwy na gjaurów szeptali.
Kawedzi powiadał:

— Terazby obławę zarządzić.

Nadciągnął oddział jazdy.

— Terazby obławę zarządzić! — powtórzył ka-
wedzi z naciskiem.

Oddział miał w Jagodynie dniówkę. Kilkudziesię-
ciu jeźdźców pod dowództwem jus-baszi wybrało się
na wyprawę. Wyruszyli, rozjechali się, rozwinęli łań-
cuch flankierski, zajeżdżali w prawo i w lewo, prze-
trząsając zarośla i krzaki i długo nic nie upatrzyli, aż
nagle jeden, wyciągając rękę, krzyknął.

— *Bak-sana!* (patrzcie).

Palec - ukaziciel jeźdźca szedł w kierunku lasku,
oderwanego od lasu większego. Przed laskiem widać
było gromadkę ludzi, dziesięciu, może piętnastu. Jeźdź-
cy zoczyli ich. Jus-basza dał ręką znak. Zatrzymali
się. Chodziło o to, ażeby ludzi tych zabrać, ale jak?
Od lasku dzieliła ich przestrzeń niewielka — uciec
mogli. Przedstawiały się więc dwa sposoby, jeden
z drugiego wypływające: natrzeć szybko i zachwycić
ich, nim do lasu dobiegną, a jeżeliby szybkość koni
tureckich okazała się niedostateczna, lasek otoczyć
i nie wypuścić ich z niego. W celu tym jus-basza
ściągnął do kupy jeźdźców, uszykował ich w szereg
jeden i, z siebie przykład dając, krzyknął:

— Naprzód!...

Turecy ruszyli z miejsca z kopyta. Ziemia pod ko-
pytami zadudniła.

W upatrzonej pod lasem gromadce znajdował się
jeden ze znajomych naszych, Żywko, syn Hadzi-Pe-
tara, mąż Stany, a ojciec Anki. Z nim był jeden z bra-
ci jego, reszta jagodynianie, którzy w powieści naszej

żadnej nie odgrywali roli, i nieznajomy jakiś. Ten ostatni był powodem takiego ze strony zgromadzonych zacietrzewienia się, że nic ani słyszeli, ani wiedzieli, co się około nich działo. Nieznajomy przybywał z za Morawy, z gór i przybywał z wyrazem „frajkury“ na ustach — wyrazem, który był dla niego kartą bezpieczeństwa i listem polecającym wśród Serbów. Zwołali się, przybysza otoczyli, on zaś rozpowiadał im:

„O frajkurach...“

Rozpowiadał dziwne dziwa.

— Z Turczynem źle... — mówił. — Posunął się był za Dunaj, póki frajkury siedzieli cicho. A siedzieli oni cicho, bo pisali drobnem pismem list do Carogrodu do sułtana i napisali w tym liście: „Oj, ty, sułtanie-pady-szachu, rozkaż ty janczarom swoim i spahjom, swoim białym Arabom i czarnym Arabom, swoim wezyrom i paszom, i azauszom, ażeby oni wojska twoje wyprowadzili z serbskiej ziemi. Rozkaż im to i niech oni ciebie posłuchają. Bo jeżeli ty im nie rozkażesz, albo jeżeli oni ciebie nie posłuchają, to my, frajkury, zabierzemy puszki i pistolety, i miecze, i dzidy, i jatagany, i noże, pójdziemy na nich i będziemy strzelali, siekli, kłuli, rąbali, aż wszystkich wystrzelamy, wykolemy, wysieczemy i wyrąbiemy, że się nie zostanie ani jeden, coby tobie, sułtanie-padyszachu, zanieść mógł do Carogrodu wiadomość, że niema już wojska twego, którego było tyle, co liścia na drzewach...“ Tak pisali do sułtana-padyszacha i na odpowiedź czekali. Czekali miesiąc, czekali dwa miesiące, czekali trzy miesiące.

Nieznajomy w guście tym rozpowiadał jeszcze dalej Serbom zasłuchanym, gdy nagle rozległ się na polu tętent koni tureckich.

Serbowie zrazu struchleli i do lasu się rzucili. Lecz

znalazł się pomiędzy nimi jeden, odważniejszy, czy też przytomniejszy, który krzyknął:

— Puszki!

Zatrzymali się więc, zwrócili, wzięli na cel jeźdźców, którzy w biegu zbili się w kupę, i z kilkunastu rusznic zagrzmiały wystrzały.

Jeźdźcy rozpryśli się w prawo i w lewo.

Serbowie dalej do lasu.

— Nabijaj! nabijaj! — krzyczał jeden, drugi.

W lasku znów się zatrzymali, broń ponabijali i znów biec poczęli, przebierając się do wielkiego lasu, do którego mieli kroków paręset czystego pola. Na polu spotkali się powtórnie z kupą jeźdźców, znacznie jednak mniejszą, niż poprzednio. Jeźdźcy atoli pierzchli, jak tylko ujrzeli podnoszące się przeciwko nim strzelby rajów.

Turcy powrócili do Jagodyny, unosząc ze sobą czterech zabitych i siedmiu ciężko rannych. Pomiedzy zabitymi znajdował się jusbasa. Śmierć naczelnika rzuciła zapewne pomiędzy Turków popłoch i przeszkodziła im korzystać z chwili, w której Serbowie, po wystrzeleniu po raz pierwszy ze wszystkich rusznic, znaleźli się byli w stanie bezbronności. Zamiast coby mieli natrzeć na nich, odskoczyli; następnie, zamiast otoczyć lasek, objechali go, niektórzy zaś konie zawrócili i wstecz się ponieśli.

Żywko i przypadkowi towarzysze jego nie wiedzieli, ani się domyślali, że zwycięstwo odnieśli. Dowiedzieli się jednak o rzeczy jednej, która dotychczas była dla nich tajemnicą, o tem mianowicie, że, trzymając się razem, silniejsi są, bezpieczniejsi, aniżeli w rozsypce.

Turcy porażką się nie chwalili. Zabitych pogrzebano cichaczem, rannych poumieszczano po domach mużłmańskich i na mezliszu uradzono, ażeby przed rają

nie nie mówić o wypadku, który — tak się poważnym radcom wydawało — na obrót wojny wpływu żadnego nie ma i mieć nie może. Kawedzi jednak zrobił uwagę:

— Zające?... hm... zające.

Żadnego atoli z uwagi tej wniosku wyciągnąć nie umiał.

Serbowie w Jagodynie salwę słyszeli. Wiatr, z pola ku miastu ciągnący, przyniósł echo huku wystrzałów tak wyraźnie, że pod dachem Hadzi-Petara siedząca za warsztatem tkackim Stana aż podskoczyła na siedzeniu i przeżegnała się, a dzieci mówiły, otwierając oczy szeroko:

— Pucają.

I garnęły się do matek i babki.

Mimowolne przerażenie jakieś wszystkich ogarnęło. Jedna tylko Milewa uśmiech na ustach miała i kiwała zlekka głową, jakby chciała przez to wyrazić, że się nie stało nic nadzwyczajnego.

Słyszane jednak echo salwy ciążyło na myślach, niby zagadkowe jakieś przeczucie, prędzej smutne, niż wesołe.

— Co to się stać mogło?

Zagadka rozwiązana została nazajutrz dopiero wieczorem, kiedy odszedł oddział jeźdźców, co dniówkę miał w Jagodynie. Przyszedł ukradkiem Żywko, zasiadł w gronie rodziny i opowiadał, co zaszło. Opowiadanie jego nie było dokładne. Grzeszyło skromnością, różniąc się pod względem tym od sprawozdań biuletynowych o czynach wojennych, podających zazwyczaj obroty nieprzyjacielskie w powiększeniu niepomiarowanym. Żywko podał tylko rezultat ostateczny:

— Uciekaliśmy, a uciekając, strzelali.

— Więc to strzały wasze w Jagodynie słyhać było? — zapytał Hadzi-Petar.

— Zapewne.

— Czy Turcy byli daleko?

— Kroków trzydzieści... czterdzieści.

— Toć musieliście zabić choć jednego.

— Zdaje się... Nie oglądaliśmy się... Uciekaliśmy...

Milewa dłonią po oczach potarła, jakby sobie coś przypomniała, i wtrąciła:

— Za dawnych czasów Serbowie nie uciekali.

Hadzi-Petar westchnął.

— I my już więcej uciekać nie będziemy... — odparł Żywko. — Posłaliśmy do frajkurów dowiedzieć się.

I powtórzył opowiadanie nieznanego, opowiadanie, które w stopniu wysokim zajęło i zaciekało kobiety. Najsilniejsze wrażenie wywarł list ów do sułtana-padyszacha pisany, stawiający żądanie tak stanowcze, wyraźne i tak dla Serbji korzystne.

Kobiety, z obliczami uśmiechniętymi, patrzyły Żywkowi w oczy.

Hadzi-Petar ciągnął silnie dym z cybucha.

Milewa wzniosła dogóry wzrok i westchnęła.

Anka, na wzmiankę o liście, drobnem pismem pisany, przypomniała sobie tego, co pisał niegdyś na czerdaku.

— Posłaliśmy więc do frajkurów — ciągnął Żywko — z pokłonem i z zawiadomieniem, że i my mamy puszki i noże, a tymczasem uradziliśmy pomiędzy sobą trzymać się gromadą i stawać jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego...

— Tak bywało za czasów dawnych... — wtrącił Hadzi-Petar.

— Tak, Boga-mi... — dodała Milewa, kiwając głową.

— Zbierała się czeta, — ciągnął starzec, — wybierała sobie czetowodza i Turkom spokoju nie dawała.

Były to rzeczy dla Żywka niezrozumiałe, pomimo

że wyrazy nie zawierały w sobie dwuznaczności najmniejszej. Jemu się wydawało, że tu właśnie chodzić powinno o dawanie nieprzyjacielowi spokoju, czyli, mówiąc inaczej, o niezaczepianie licha. Nic w tem nie było dziwnego. Żywko należał do pokolenia, któremu wspomnienie walk z Turkami podawali nie ojcowie, lecz echa z przeszłości odległej, przechowane częścią w pieśniach, częścią w ustnych o dziadach, o pradziadach opowiadaniach. Hadži-Petar powiedziec mu nie mógł:

— Robiłem tak a tak... Mówię ci to z doświadczenia własnego.

Mógł powiedziec tylko:

— Słyszałem o tem od ojca... Tak bywało za czasów dawnych.

A to różnica wielka. Tradycji zabrakło praktyki, bez której była ona martwa, jak wiara bez uczynków. Gdyby Hadži-Petar sam był zamłodu walczył, to byłby osobiście stanął i młodszym pokazał — byłby dał im z siebie przykład, którego oni potrzebowali koniecznie. Wypadek sprowadził ich w kupę i kupa ta bezwiednie zwycięstwa się dopuściła, nie wiedząc, co poczynać dalej. Przekonali się tylko niechęć, że trzymanie się razem jest rękojmią bezpieczeństwa; dowiedziawszy się zaś o możliwości porozumienia się z frajkurami, których podsycana wypadkami wyobraźnia podniosła do znaczenia bohaterów legendowych, postanowili pod ich skrzydła oddać się. Rozumowanie, z którego postanowienie to Serbowie wysnuwali, było nader proste.

— Jeżeli frajkiury tacy silni, że się podejmują wojska sułtańskie co do nogi wytepić, to z nami będą jeszcze silniejsi, za naszym spółdziałaniem wytepienie tem pewniej skutecznią i bezpieczeństwo nasze pod opieką ich będzie tem większe...

Posłali przeto człowieka pewnego z poleceniem

przebrania się za Morawę, a jeżeliby się potrzeba okazała, i za Dunaj, wyszukania tych, o których tyle było mowy, a których nikt nie widział, i oddania jagodyńców pod opiekę ich i rozkazy. Sami zaś trzymali się razem. Gromadka z ludzi piętnastu, którzy ją pierwotnie składali, powiększała się, rosła. Przybywało po dwóch, po trzech. W przeciągu dni kilku, z piętnastu zrobiło się trzydziestu, następnie z trzydziestu — sześćdziesięciu. Wałęsali się po lasach i wertepach, obozując dziś tu, jutro owdzie i wysyłając ludzi pojedynczych na zwiady, które szły nie koleją, lecz na ochotnika, i powracały z wiadomościami o stanie rzeczy w Jagodynie. Głównie chodziło im o to:

— Czy są w mieście wojska tureckie, czy niema?

W pierwszym razie drużyna usuwała się, jak można najdalej, w miejsca jak najbardziej niedostępne; w drugim razie zbliżała się do miasta, skąd wynoszono im zapasy żywności i bielizny do zmiany. Mężowie widywali się z niewiastami, ojcowie z dziećmi, synowie z rodzicami.

A wszyscy z niecierpliwością na odpowiedź od frajkurów czekali.

A wiadomości o wojnie były coraz to bardziej dla Turków niepomysłne. Serbowie głowy podnosili. Kajmakan, członkowie mezliszu, kir-Kosta i kawedzi chodzili z minami rzadkimi, milczący i bardziej, niż zwykle, zadumani.

XV.

Rozprawa pomiędzy rywalami.

Jagodynianie, czekając na powrót posłańca swego, doczekali się pierwszej wiadomości, z których każda nową była pociechą. Tym razem były to nazwiska ludzi

pojedyńczych. Wyskakiwały one niespodzianie, niby race, puszczane w powietrze ręką ogniomistrza zręcznego, i sypały skrami i gwiazdami. Jednym z nazwisk takich było naprzód: Michalewicz.

— Michalewicz... pułkownik... — mówili Serbowie jedni drugim do ucha — Michalewicz...

— Cóż przecie?...

— Bije Turka... bije!...

Starce uśmiechali się.

Drugim imieniem podobnym było: Koczi.

— Cóż on?...

— Dźwignął Krainę... idzie na Turka jak chmura z piorunami... i bije... i bije!

Kulakami obcierali i dłońmi piersi przyciskali, jakby na to, ażeby z nich nie powyskakiwały serca.

Trzecim w podobnym rodzaju imieniem było imię: kapetan Marko.

Hadzi-Petarowi wpadło ono w ucho na czarszji. Przynieśli je sielacy. Starzec udał, że imię to po raz pierwszy słyszy; lecz się odwrócił i ujrzał za sobą kir-Kostę — i strzeliła mu w głowie myśl złośliwa, sprawienia chytremu Grekowi zmartwienia. Pozdrowił go więc uprzejmie i po pozdrowieniu przemówił:

— Cóż, kir-Kosto?...

Grek głową rzucił i językiem cmoknął, następnie głos zniżył i odrzekł:

— Nasi górą...

— Chwała Bogu... — odparł starzec ze spokojem udanym. — Kiedy *nasi górą*, to terazby pora ująć włóczęgę tego, na któregoś na mój dom Turków naprowadził i za którego Jewta-bakalin gardło dał.

Kir-Kosta, zrozumiałwszy, że starzec nie to mówił, co myśli, zrobił gest zapytania.

— Czyż nie pamiętasz, kir-Kosto?... włóczęga... ten

włóczęga, co to z Milanowca przybył, kiedym po sól chodził...

— Ten, co powiadał, że owce i świnki kupuje?

— Ten sam, co z apsu uciekł...

— Więc cóż?...

— Więcby go teraz ująć była pora, kiedy Turkom dobrze idzie, a on się na czele czety złoczyńców uwija

— Eh, Hadzi-Petarzel... Ty wiesz przecie, że ja chrześcijanin i chrześcijanom dobrze życzę... (Oglądnał się dokoła): — Turków biją...

— E?... — bąknął starzec z niedowierzaniem udanem.

— Boga-mi... Turków biją... nasi góraż...

Hadzi-Petar westchnął, usta skrzywił i głową pokijał.

— Ta to się jeszcze zmieni może.

— Może... — rzekł kir-Kosta tonem szczeroci nieudanej.

— Dlatego też nie szkodziłoby kapetana Marka bodaj na zastawnika dostać...

Kir-Kosta bohatera naszego imienia nie znał. Dlatego imię, przez Hadzi-Petara wyrzeczone, uderzyło go.

— Jakiego to kapetana Marka?

— No... tegoż włóczęgę.

Kir-Kosta zrobił gest, któryby się dało tłumaczyć rozmaicie, który jednak wyrazistości i znaczenia nabierał od bladeści lekkiej, jaką się oblicze jego powlekło. Dostrzegł tego przenikliwy starzec, uśmiechnął się i pożegnał dragomana.

Rozeszli się.

Kir-Kosta udał się do Fatmy-hanem, której, zapomocą znaków umówionych, naznaczył u Ormianina schadzke.

Hadzi-Petar udał się do domu.

W izdebce Ormianina i pod dachem domu Hadzi-

Petara odbyły się dwie sceny równocześnie prawie, podobne a różne.

Turczynka wiadomość o Marku przyjęła z obojętnością pewną, takimi błyskawicami oczów podszyta, że przed niemi Kir-Kosta cofnął się w przerażeniu.

Kobieta zaśmiała się głośno.

— Hanem, ty się śmiejesz?... — rzekł Grek tonem napomnienia.

— Czyż chcesz, żebym płakała?...

— Nie... ale i śmiać się niema czego... A nuż do Jagodyny przyjdziel...

— Więc cóż!... Mam złoto, klejnoty i drogie kamienie... oddam mu wszystko... wszystko... i siebie...

— Ale ja!... — podchwycił Grek tonem zafrasowania.

— Ty?... O!... ty się nie lękaj... Ja ciebie schowam, że będziesz jak najzupełniej spokojny i... bezpieczny...

Kir-Kosta westchnął.

Turczynka po chwili zamyślenia, jakby przedrzeźniając echo myśli własnej, powtórzyła:

— Będziesz spokojny i... bezpieczny...

I uśmiechnęła się do siebie.

Na tem scenę tę urywamy. Śpieszno nam pod dach, pod którym uczucia z czystszych płynęły źródła.

Hadzi-Petar popełnił nieostrożność. Przyszedł i wiadomość o Marku pomiędzy kobiety rzucił, jak się rzuca bukiet na scenę, lub granat do nieprzyjacielskiego obozu. Wiadomość ta bukietem padła dla wszystkich, granatem dla Anki. Pękła przed nią i poraziła ją zbyt-kiem radości. Dziewczyna doznała uniesienia, jakby ją z ziemi co w górę rwało, ręce wyciągnęła, nagle krzyknęła, bladością śmiertelną pobladła i na ziemię runęła. Matka, ciotki poskoczyły do niej. Bryzgnięto jej zimną wodą na twarz. Otworzyła oczy, westchnęła — matka i ciotki zarzuciły ją zapytaniem.

— Co ci było?... czegoś zemdlała?... co twój krzyk znaczył?

Dziewczyna, zamiast odpowiedzi, błagalnym patrzyła na nie wzrokiem.

— Nie pytajcie jej... — rzekł Hadzi-Petar, po chwili baczego wpatrzenia się we wnuczkę.

A kiedy wnuczka zupełną odzyskała przytomność, przemówił do niej tonem dobrotliwym, w którym sentencjonalność czuć było:

— Wiedz, moje dziecko, że dziewczynka niejednej na świecie biedy powodem się stała.

Synowym zaś szepnął do ucha, ażeby się starały jak najmniej przy Ance o Marku mówić.

W sposób ten wydała się tajemnica serca bohaterki naszej, tajemnica, o której dotychczas sam tylko Hadzi-Petar wiedział, będąc świadkiem spotkania się Milenka z Markiem pod czereśnią, kiedy ten ostatni z apsu przez Ankę wyprowadzony został. I rozpoczęły się dla biednej dziewczyny dni iście krzyżowe: rozpoczęła się dla niej ciągła męczarnia, zadawana jej w drobnych porcjach półsłówkami, westchnieniami i spojrzeniami jej najbliższych, tych, co ją szczerze kochali i szczerze dla niej wszelakiego dobra pragnęli: matki rodzonej i ciotek. Kobiety wstrzymywały się od mówienia przy niej o Marku; lecz zato wytrzymać nie mogły, ażeby nie mówić o Milenku.

O! języki niewieście!..

Jeszcze jak na toż Milewa, dowiedziawszy się, że Marko jest jednym z wodzów w toczącej się wojnie i, przypomniawszy sobie wypadki, jakich osoba jego powodem się stała, i zajęcie, jakie w niej wzbudziła, poczęła się o nim odzywać często. Na to rady nie było. Nikt nie śmiał staruszce milczenia nakazać. Z tego wytwarzały się fałszywe manewra w ich rozmowach. Staruszka o Marku mówiła, synowe zaś starały

się zagadywać ją i każde z zagadywania tego słówko zmieniało się w sztylet, raniący serce bohaterki naszej.

Szcześciem dla niej, wkrótce po przyniesieniu przez Hadzi-Petara wiadomości o Marku, nastąpiła pora niepokoju wielkiego. W Jagodynie czuć się dało zbliżanie działań wojennych. Kolumny tureckie wykonywały te obroty, jakie wykonywają zazwyczaj wojska niebędące panami ruchów własnych. Snuły się, jakby w labiryncie dróg nitkę przewodnią straciły. Maszerowały to wtył, to naprzód, to w prawo, to w lewo: przeciągały przez Jagodynę do Cziuprji, lub Kruszewca, lub Kragujewca, to znów z Cziuprji, Kruszewca i Kragujewca ciągnęły w górę do Hassan-Pasza-Polanki i po niejakiś czasie wracały. To snucie się wojsk, ta plątanina marszów i kontramarszów, ta wrzawa tłumów wojennych, przewalających się przez miasteczko, sprawiały roztargnienie nieustające, odwracające uwagę od Marka, Anki i Milenka, a zwracające ją na obozy tureckie, które co dni parę pod Jagodyną to zakładano, to zdejmowano, na mosty, które stawiano na Lewaczce i Morawie, na szańce przedmostowe i reduty, które dla obrony przepraw i pozycji sypano. Wszystkie te szczegóły, niezrozumiałe dla ludzi, niemających o sztuce wojennej wyobrażenia, odbijały się w sercach mieszkańców Jagodyny, utrzymując ich w stanie ciągłej gorączki, nieustannego przyływu i odpływu uczuć, zmieniających się kilkakrotnie w ciągu jednego nieraz dnia. Nadzieja i rozpacz, radość i smutek przelewały się kolejną, stosownie do tego, jak wojska tureckie cofały się lub szły naprzód.

Gorączka, zmiana uczuć tem silniej działały, że podsyciała je okoliczność jedna, spodziewana wprawdzie, niemniej przeto żywo do serc przyjęta. Zbiegowie jagodyńscy, o których w poprzednim rozdziale mowa była, doczekali się nareszcie zażądaney przez

posłańca umyślnego odpowiedzi od frajkurów. Odpowiedź przysłała pod postacią młodzieńca, przybyłego wraz z posłańcem, młodzieńca roztropnego i rezolutnego, któremu z pod odzieży sielaka serbskiego wyglądały багаńcze węgierskie i który, mówiąc po serbsku płynnie, zarywał akcentem niekoniecznie takim, jakim mówią nad serbską Morawą.

— Człowiek ten odpowiedź przynosi... — temi słowy przedstawił go jagodynianom posłańiec.

Jagodynianie otoczyli przybysza kołem.

A pierwsze ust jego otworzenie było zapytaniem treści następującej:

— Czy chcecie się do frajkurów zaciągnąć?...

Jagodynianie spojrzeli po sobie, ociągając się z odpowiedzią na pytanie ciśnięte niespodzianie.

— Chcecie, czy nie?...

— Ta... że... — odparł jeden, ramionami ściskając i głową ruszając — to... my... chcemy...

— Chcemy... — podchwycił drugi

— *Ocziamo...* — odezwał się chór, poparty kilku głosami pojedynczemi, które spóźniły się z odpowiedzią zbiorową.

— Wszyscy?... — zapytał młodzieniec, prowadząc oczami dokoła.

— Zdaje się wszyscy... — odpowiedział jeden po chwili milczenia.

— Kto nie chce, niech na stronę odejdzie...

Nie odszedł ani jeden.

— Kiedy tak więc, to ja wam czetowodza... Oto rozkaz, podpisany przez pułkownika Michalewicza i kapetana Marka.

Wyjął z zanadrza papier, rozłożył i pokazał. Jagodynianie ciekawie popatrzyli na sznureczki wierszy, biegnące wpoprzek ćwiartki, i głowami pokiwali poważ-

nie, jakby, nie umiając czytać, wyczytali, co tam napisane stało.

— Macie zatem rozkazów moich słuchać ślepo...

— Dobrze... — odezwali się chórem.

— Stańcie więc w szereg...

Serbowie nie zrozumieli odrazu, o co właściwie spadłemu niby z nieba wodzowi chodzi, lecz wnet zrozumieli. Młodzieniec ustawił ich podług wzrostu, odliczył od prawego, rozdzielił szereg na połowę, połowę jedną za drugą wprowadził i sformował dwa szeregi. Następnie podzielił na dziesiątki i dziesiątki ponumerował: pierwszy, drugi, trzeci i t. d. Wkońcu wydobył z zanadru książeczkę z ołówkiem i, stając przed dziesiątkiem pierwszym od prawego, zapytał prawoskrzydłowego w pierwszym szeregu:

— Jak się nazywasz?...

— A naco to tobie?... — była zapytanego odpowiedź.

— Zapiszę ciebie...

Prawoskrzydłowy cmoknął i głową na znak przeczenia rzucił.

— No... jak się nazywasz?...

— Jak się nazywam, tak się nazywam, a nazywam się nie na to, ażebyś mnie zapisywać miał.

— Potrzebaż, dla porządku.

— Porządek być musi i bez zapisywania.

— Nas nikt nie zapisywał nigdy... — sprzeciwił się inny.

— My się zapisywać nie pozwolimy... — dorzucił głosem podniesionym jeden z przeciwnego skrzydła.

— Ojców naszych nikt nie zapisywał, to i nas zapisywać nie będzie... — odezwał się ktoś ze środka.

— Muszę przecież wiedzieć, jak się który nazywa... — zawołał młodzieniec, zmieszany nieco niepo-

słuszeństwem tem, jakie podwładni jego na pierwszym okazali kroku.

— To my tobie powiemy, ale nie do zapisywania.

— Przyrzekliście mi posłuszeństwo.

— Słuchać ciebie będziemy.

Nie było na upór rady. Czetowodża do kieszeni schował książeczkę i ołówek i każdemu dziesiątkowi dziesiętnika wybrać kazał.

Rozkaz ten spełniony został natychmiast, równie jak i wszystkie inne, odnoszące się do przerobienia kupy ludzi na oddział wojska. Młodzieniec uczył Serbów obrotów ciała i szkoły plutonu, ograniczając się na rzeczach najpotrzebniejszych i tłumacząc znaczenie ruchu każdego. Nauka szła dobrze. Ludzie okazywali pojętność. Pod względem tym posłuszeństwo było zupełne. Ale o zapisywaniu ani sobie mówić dali.

— Od rodu, od czasu jak świat światem, nie zapisywał nas nikt.

Szczegół więc ten pominąć trzeba było.

Młodzieniec musztrował i ćwiczył oddział swój gorliwie, powtarzając naukę na dzień po kilka razy; manewrował, obracał, rozpraszał, zbierał, rozsyłał dziesiątki w różne strony, potem je w kolumnę szykował, stawał obozem, rozprawdzał warty i czaty, wprawiał do ostrożności i podsłuchów i po kilku dniach usilnej pracy miał już pod dowództwem swoim kompanję piechoty, posiadającą jeden z najważniejszych rzemiosła wojskowego warunków: spoistość. Po kilku też dniach oddział ten wykonał wyprawę pierwszą: napadł na transport efektów wojskowych, z kilkunastu składających się wozów, eskortę do ucieczki zmusił, wozy zabrał i uprowadził. Przy okazji tej wpadła Serbom w ręce zdobycz rozmaita: broń, amunicja, żywność, odzież. Co też to za radość była!... jaki triumf!... Chcieli za-

brać wszystko, lecz czetowodza wydzielić kazał broń i amunicję, resztę spalić.

— Szkoda!... grzech!... — wołali nowi żołnierze. — Wozy, odzież... praca ludzka!... chleb... dar Boży!

— Ale gdy się tą pracą i tym darem obciążysz, — odparł wódz — to cię Turczyn dopędzi, zdobycz odbierze i ciebie zabije.

Po wyprawie tej nastąpiła niebawem inna, po tej znów inna i jeszcze inna. Oddział jagodyński uwijał się po okolicy, pojawiając się nagle w tych miejscach, gdzie się go najmniej spodziewano. Jagodynianom się to podobało, słuchali naczelnika swego i opowiadali o nim:

— Patrzcie, co to jednak frajkurem być!

Nie mieli za frajkurów siebie, ale tylko przysłanego im dowódcę i brali wyraz „frajkur“ w znaczeniu urzędu, stopnia wojskowego, tego będąc przekonania, że niejednemu z nich przyjdzie kiedyś, za odznaczenie, na frajkura awansować. Z tego powodu starali się przyswoić sobie tajemnice rzemiosła wojskowego i tak dalece pod względem tym korzystali, że po upływie tygodni kilku ćwiczeń i wypraw formowali wcale niezłą jednostkę bojową.

Śród wypraw dowiedzieli się, że oddziałów takich, jak ich, więcej jest. Przy okazji pewnej spotkali się z kragujewaczanami, przy innej znów ze swilajniczanami i wespół z nimi napady wykonywali. Dowiedzieli się także, iż stojący na czele ich młodzieniec stosuje się do rozkazów, przysyłanych mu przez gońców, którzy, przybywając z okolic dalszych, znają hasła i odezwy, jakie im frajkur ich każdego daje poranku.

— Te frajkury!... majka ich!... słyszę, jak trawa rośnie...

Wszystko szło dobrze i pomyślnie, tylko nie Turkom, którzy od czasu wystąpienia oddziałów party-

zanckich wykonywali ruchy i obroty, podobne do kręcenia się muchy w ukropie. Było im niedogodnie i ciasno. Uwijające się oddziały serbskie nie tylko zabierały im transporty, psuły komunikacje, alarmowały obozy i rozбивały kolumny furazujące, lecz także podchwytywały gońców z rozkazami, co obroty wojenne narażał na zamieszanie, odwracając nieraz wojska w kierunki przeciwne tym, jakie im wodzowie nadać zamierzali. Jednym słowem rwały się im końce, które oni ścigali, jak mogli, chwytając się środka, który w dawniejszym sposobie prowadzenia wojen uważany był w razach podobnych za skuteczny: fortyfikując się po miastach i obsadzając je załogami silnemi.

I przed Jagodyną usypano okopy, a w tych postawiono około dwóch tysięcy ludzi. Okopy te broniły przystępu do mostów i dlatego otwarte były z tyłu. Kilkanaście paszcz działowych wyglądało ze strzelnic, patrząc na drogę, która z Hassan-Pasza-Polanki prowadziła.

Załoga w okopach stale przebywała. Zadanie jej na tem polegało, aby bronić miasta i pozakładanych w niem magazynów. Ważność punktu tego była niemała, a to z tej przyczyny, że w nim schodziły się dwa trakty belgradzkie i że poza nim znajdowała się główna przez Morawę przeprawa, a za przeprawą tą miasteczko Cziuprja, będące jednym z ważniejszych punktów wojennych.

W ciągu wojny, służącej powieści naszej za ramy, okopy jagodyńskie oddały tę Turkom przysługę, że jeden z korpusów ich, party z przodu przez wojska cesarskie, znalazł w nich punkt oparcia. Cofnął się, zatrzymał i nie był nawet atakowany. Cesarscy nie ośmielili się zaczepiać go. Korpus powstał przez dni kilka, wypoczął, dopełnił ubytki, doczekał się posiłków

i znów ruszył naprzód, zmuszając cesarskich do ruchu wstecznego.

Gdy korpus, o którym mówimy, poszedł naprzód, w tropy za nim rzuciły się oddziały partyzanckie, a pomiędzy nimi i nasz jagodyński. Turcy szli bitym traktem; Serbowie konwojowali ich manowcami. Boczne tureckie straże miały z tymi ostatnimi parę, w ciągu pierwszego dnia, starć, wskutek których korpus cały zatrzymywać się musiał. Przyszedł wieczór. Przeciwnicy obozami stanęli, gotując się na spoczynek, w celu nabrania sił do zniesienia trudów dnia następnego.

Jagodynianie tego byli przekonania, że nazajutrz pójdą za Turkami dalej. W przekonaniu tem utwierdziło ich przybycie z wieczora gońca, który „frajkurowi“ ich rozkaz na piśmie przywiózł. Młodzieniec rozkaz przy ognisku przeczytał i, przeczytawszy, krzyknął:

— Spać ludzie!... Nim zaświta, ruszamy!

Układając się przy ognisku do snu, jagodynianie tłumaczyli sobie, że ruszą Turkom naprzelaj.

Jakże zdziwieni byli, gdy nazajutrz spostrzegli się, że pochód ich odwrotny przyjął kierunek!

— A dokądże to my idziemy?... — pytali wodza.

— Zobaczycie... — była odpowiedź.

Poszli naprzód w pagórki ku Kragujewcu się ciągnące, zwane Drni Wrch; przenocowali; nazajutrz nad wieczorem znaleźli się nieopodal od wsi Gławczice, odpoczęli i szli do rana; nad rankiem zatrzymali się i przespali w gąszczach dzień cały; gdy noc nadeszła, ruszyli, z manowców na drogę wyszli i na drodze spotkali oddział inny, który na nich czekał. Od tego innego oddziału zbliżył się do nich człowiek, którego strój wspaniały i uzbrojenie pyszne rozpoznać się dawały po nocy. Zbliżył się i przemówił:

— Jak się macie, jagodynianiel...

— Chwała Bogu!... — odpowiedziało mu kilku głośno, a najgłośniej trzech ludzi: Żiwko i dwaj bracia jego.

— O!... — odezwał się człowiek. — Wszakże tu jest i potomstwo Hadzi-Petara!... Po głosie poznaję!

— I jam ciebie po głosie poznałem! — była Żiwka odpowiedź.

— I jam ciebie poznałem!... i ja!... i ja!... — odzywały się głosy jeden po drugim.

— No, widzicie... jak też się to człowiek ani na trochę nie odmienił, od czasu jakem Turczyzna w Jagodynie przy *czesmie* ¹⁾ udusił.

Łatwo domyśleć się, że owym przez jagodynian po głosie poznanym był nie kto inny, jeno harambasza Milenko. Wszedł pomiędzy nich, jak pomiędzy rodzinę, pozostał i rozmawiał, podczas kiedy oddziały szły drogą dalej.

— Skądże się ty tu wziął, Milenku, he?... — zapytał Żiwko.

— Skąd?... o toż pytasz!...

— Słuch o tobie zaginął. Myślałem, żeś ty w górach...

— A słyszałeś ty co o kapetanie Marku?... — podchwycił hajduk.

— O nim to ludzie gadają.

— Dlatego nie gadają o mnie... Jam, bracie, z harambaszą moją w kąć poszedłem. Gdyby nie kapetan Marko, to siedziałbym w górach jak niedźwiedź i pukał z za kamieni do Turków, czem zrobiłbym im złego tyle, co kiedy komar człowieka ukąsi... Zastrzeliłbym dla *halin* ²⁾ i nowców jednego, drugiego i na tem koniec... Serbjiby to się nie przydało na nic ... Kapetan

¹⁾ *Czesma* — studnia.

²⁾ *Haliny* — odzież.

Marko rozumu mnie nauczył. To człowiek!... To, bracie, człowiek!

— On nam „frajkura“ na czetowodża przysłał... — wtrącił Żiwko.

— On to zrobił, że Turków tłuczemy... Zebrał, uporządkował, prowadzi, a jak o wszystkim wie, majka niegował... hi... hi... A jak w ogień lezie!

Szli i rozmawiali. Milenko ze szczegółami opowiadał o organizacji oddziałów ochotniczych, zwanych *Freikorpus* (skąd „frajkury“), które, jak z dziejów wiadomo, przyczyniły się głównie do pomyślnego niepomyślnie rozpoczętej wojny obrotu, i o czynach wojennych, w których bohater nasz odznaczył się odwagą, przytomnością umysłu i znajomością rzeczy.

— Majka niegował!... — mówił. — On, niby ta matka, co dziecko chodzić uczy, nauczył nas Turczy-na bić... Bez niego zakiślibyśmy, ja w górach, ty w jakiejś tam pod Jagodyną norze i odżylibyśmy po wojnie na nowo, ja hajdukiem, ty rają pokornym... A tak... zobaczmy... Hukniemy dziś rano, na dzień dobry, *żywila Serbia!* w Jagodynie...

— W Jagodynie!... — krzyknął Żiwko zdumiony.

— A gdzież!... toć przecie do Jagodyny idziemy wprost... a z nami idzie czet coniemiarą... Zobaczysz, co to za taniec będzie!... Zobaczysz i kapetana Marka...

— Toć ja go przecie znam... — wsunął Żiwko.

— A prawda...

Przy wyrazie tym hajduk westchnął.

— Eh!...

Ręką machnął.

— Co ci? — Zapytał ojciec Anki, widząc, że Milenka nagle zły humor napadał.

— Nic, bracie!... We mnie, widzisz, djabeł siedzi i ja go za rogi muszę z całej trzymać siły, ażeby licha nie narobił...

Świtać poczynało. Nagle, w stronie północno-wschodniej, na nieboskłonie, niby się błyskawica zapaliła i wnet potem odezwały się huki wystrzałów. Zawarczał ogień rusznicowy, podobny do dalekiego drapeżnego zwierzęcia mruczenia; w chwil kilka później grubym głosem zagrzmiały działa. Strzał po strzale następowały szybko.

— Baczność!... — krzyknęli dowódcy czet.

Czety zatrzymali, uszykowali, broń ludziom opatrzyć kazali i z drogi ich na pole sprowadzili.

— Krok zdwojony... marsz!

Oddziały pobiegły, kierując się na huk bitwy.

Strzelanina, która się z początku w północno-wschodniej stronie miasta ogłosiła była, odezwała się następnie w południowej, a potem w południowo-wschodniej, wkońcu w zachodniej. Wyraźnie Jagodyna ze wszystkich naraz stron, znienacka, zaatakowana została. Turcy rzucili się naprzód do okopów, myśląc śnać, że nieprzyjaciel od frontu ich zaczepia; wnet się jednak rozdzielili i połową jedną uszykowali się frontem wtył, spostrzegłszy zaczepkę ze strony wprost przeciwnej. Napadnięci jednak zboku, zmieszali się; napadnięci z drugiego boku, głowy potracili. Bitwa rozpoczęła się o mroku porankowym. Dzień zastał hufce tureckie cofające się w nieładzie największym z miasta do okopów, które, otwarte z tyłu, nie dawały schronienia pewnego, tem bardziej, że największa siła atakujących nacierała z tej właśnie strony, z której szanse tureckie otwarte były. Pierwsze czety serbskie, do miasta wkraczające, wsiadły Turkom na pięty i opanowały most, którego zerwanie mogło być środkiem jeżeli nie ratunku, to przynajmniej przewleczenia boju. Po utracie środka tego, nie pozostawało wyznawcom proroka nic innego, jak poddać się przeznaczeniu.

Amen!...

Turcy broń złożyli i ręce do więzów wyciągnęli. Miasto, magazyny, dwa tysiące niewolnika, kilkanaście dział, sporo broni i amunicji wpadły zwycięzcom w ręce.

Cóżto za radość była!... cóżto za triumf!... Z pistoletów strzelano, a okrzyki „żiwila Serbja!“ brzmieć w powietrzu nie ustawały.

Środkowym objawom radości i triumfu punktem była chesma na rynku przed konakiem, ta właśnie chesma, przy której przed laty Milenko mojżeszowego dopuścił się czynu. Przy chesmie tej stał naczelnik, co wyprawę na Jagodynę zarządził i poprowadził, a naczelnikiem tym był znajomy nasz — nasz bohater — kapetan Marko. Czety przeciągały przed nim z okrzykami:

— Żiwila Serbja!... żiwio kapetan!...

Nic od czasu, jakeśmy go widzieli, nie zmienił się, chyba pod tym tylko względem, że miał na sobie odzież inną. Ubrany był w mundur oficera od Graniczarów, okryty płaszczem wojskowym.

Czety przed nim przeciągały i mieszkańcy Jagodyny około niego się cisnęli. Pomiędzy tymi ostatnimi oczami kogoś szukał i znalazł — i powitał zdaleka. Był-to Hadzi Petar.

Starzec przez tłum się przecisnął.

Marko rękę mu podał i w te do niego odezwał się słowa:

— Rozejdźcie się i siedźcie cicho... Jeszcze to nie wszystko z Turkami skończone... Jeszcze oni do Jagodyny powrócą... Nie trzeba więc, ażebyście się na ich wystawiali zemstę.

Słowa te niemile w uchu starca zabrzmiały; lecz biła z nich prawda, której niesposób było nie uznać. Chciał Hadzi-Petar coś na nie odpowiedzieć, gdy wtem na rynku słyszeć się dał, krzyk, tak silny i tak wysoki,

że pokrył sobą okrzyki i strzelanie z pistoletów, a przytem tak tonem dzikiej jakiejś radości przeraźliwy, że wszyscy mimowolnie zwrócili uwagę w stronę, w której zadzwonił. Ton okrzyku tego był kobiecy. Przeplatał go śmiech spazmatyczny; przetrzącały go wywoływania wyrazów następujących:

— Puszczajcie mnie!... puszczajcie!... do niego!... On mój!... mój rycerz!... mój pan!... Niosę mu podarek!... Puszczajcie mnie!...

Tłum się w dwie rozchyłał strony i otwierał do czesmy drogę kobiecie, która postępowwała powoli i oglądała się obłąkanemi, zaiskrzonymi oczami, prawą rękę do góry podniosła i potrząsała nią i w ręce tej za włosy trzymała... głowę ludzką.

Był to widok przerażający. Snać głowa tylko co od tułowia oddzieloną została, co się pokazywało z bogatej, złbcistej niewiasty odzieży, krwią zwałanej, ze smugów krwi świeżej, płynącej po kobiety ramieniu nagiem.

— Puszczajcie mnie!... podarek mu niosę!...

Przed Marka przyszła i stanęła. Oczy w niego wlepiła.

— Cha, cha, cha!... Widzisz?...

Głowę mu pokazała.

— Widzisz?... Chciał kir-Kosta, ażebym go przed tobą schowała... Schowałam... Jest spokojny i bezpieczny... Wzięłam tylko głowę jego, ażeby się pokłonił tobie... Masz!...

To mówiąc, głowę Markowi pod nogi cisnęła i zaśmiała się chichotem dzikim.

— A teraz mnie bierz!... Oddaję się tobie, już nie w ciemnicy, skąd mi cię duch jakiś wydarł, ale w dzień jasny, przy wszystkich... Bierz mnie!...

Pod boki się wzięła, okrwawiona, dzika i dokoła wyzywającym powiodła wzrokiem.

— Obłąkana... — rzekł Marko do bliżej stojących. — Trzeba ją zabrać i schować...

Kilku ludzi do kobiety podeszło i po krótkim z nią szamotaniu się z rynku ją odciągnęło. Odprowadzona co sił krzyczała:

— Marku, nie daj!... Marku, ja twoja!...

Sceny tej, w rodzaju swoim dziwnej, wstrętnej i przerażającej, świadkami byli jagodynianie wszyscy, którzy w kobiecie poznali małżonkę kajnakana, a pomiędzy innymi Hadzi-Petar, Żiwko i Milenko. Wywarła ona wrażenie i na Marku. Lecz na zastanawianie się nad rzeczami podobnemi czasu nie było. Marko raz jeszcze Hadzi-Petarowi daną poprzednio przestrożę powtórzył i natychmiast zajął się rzeczą rzemiosłową — wyciąganiem korzyści ze zwycięstwa odniesionego.

Żołnierz z niego był dobry. Wiedział, że zwycięstwo, jeżeli się z niego nie korzysta, staje się podobne do fajerwerku, rozsypującego się bezużytecznie w iskier tysiące.

Kazał więc jak najspieszniej okopy rozrzucić, magazyny poniszczyć, broń i amunicję zabrać, działa, których się uwieść nie dało, popsuć i jeńców odprowadzić. A gdy to wszystko dokonane zostało, ruszył wnet w pochód do Cziuprji, dokąd go wzywał rozkazem pułkownik Michalewicz. Dodać należy, iż w pochód ten zabrał z sobą cztery wszystkie, które w zdobyciu Jagodyny udział brały, zostawiając w mieście dziesiątek tylko jeden, z poleceniem cofnięcia się w razie, gdyby się Turcy pokazali.

W pochodzie do Cziuprji zbliżył się do bohatera naszego Milenko.

— Kapetanie Marku — rzekł — widzę że Serbja u ciebie na pierwszym stoi miejscu.

Marka powiedzenie to zdziwiło nieco.

— Miałem ciebie na oku przez cały pobytu w Jagodynie czas... Myślałem, że pójdiesz... do...

Zająknął się.

— Dokąd?... — zapytał Marko.

— Do.. hm!... eh!... — ręką machnął. — Alem i ja nie chodził...

Marko weschnął zlekka.

Wezwanie pułkownika Michalewicza, który na prawym brzegu Morawy operował i pod którego rozkazami bohater nasz się znajdował, miało na celu opanowanie przeprawy na Morawie i zdobycie Cziuprji. Dopięcie celu tego znacznie ułatwione zostało przez zdobycie Jagodiny. Cziuprja znalazła się w odosobnieniu. Turcy, załogą w niej stojący, mocno zagrożeni, cofnęli się, po parudniowym oporze, do Aleksieńca. Turcy zaś, których powrót do Jagodiny Marko przepowiedział, a którymi był ów korpus, co się posunął był naprzód, powrócili w samej rzeczy; lecz znalazłszy w Jagodynie okopy zburzone, na Morawie przeprawę zajęłą i Cziuprję zdobytą, musieli co rychlej miasto opuścić i szukać sobie drogi odwrotu na traktach kruszewackim i karanowieckim. W czasie tym marszałek Laudon zdobył Belgrad. Wojska cesarskie posuwały się w głąb kraju serbskiego, lecz znajdowały go już z nieprzyjaciela oczyszczonym, albowiem korpusy ochotnicze, zabiegając cofającym się otomańskim kolumnom naprzecią, zniewalały je cofać się szybko, z obawy nieutrącenia najkrótszych linii operacyjnych, jak się to w Jagodynie i Cziuprji stało.

Jagodyna przeto pewnego poranku pięknego (pięknego!... zaiste) znalazła się nagle bez pana. Turcy opuścili ją... bez pożegnania. Szczęściem, nie podpalili jej z czterech rogów. Snać w pośpiechu zapomnieli o zostawieniu po sobie tej ostatniej panowania swego pa-

miątki; wynieśli się i wprawili mieszkańców w osłupienie.

— Niema Turczyna!... — powtarzali Serbowie, zamysławając się i sami nie wierząc wymówionym przez siebie wyrazom.

— Niema... No, niema...

— Niema... — jedni szeptali, drudzy głos nieco podnosili.

— Cóż tu robić?

Co robić?... — było to zapytanie, tkwiące każdemu mieszkańcowi Jagodyny w myśli nieustannie i wychodzące z ust co chwila.

Tylko pod Hadži-Petara dachem o tem nie myślano.

Myślano tam bowiem o czem innem. Kiedy wyrazy „niema Turczyna“ o uszy Milewy się obily, staruszka podniosła do góry oczy i ręce, oblicze jej zajaśniało blaskiem radości, jakby się uczuła z ziemi w niebo braną, i zawołała:

— Boże!... doczekałam się... Niczego już więcej nie chcę... Panie, wierzyłam, ufałam, że tak będzie, i wiarą moją i ufnością dzieliłam się z innymi... Panie! bierz mnie, zdmuchnij jak świecę, której blask niepotrzebny już przy blasku słońca... Dla Serbji słońce wzeszło... już ono nie zgaśnie... Boże, przyjm duszę moją grzeszną!...

Bóg ją wysłuchał. Osunęła się na pościel... poprosiła o księdza.

Przygotowała się na drogę żywota wiecznego, konała i skonała w opromienieniu aureoli wiary, która na ustach jej po śmierci uśmiech zostawiła. Czysta dusza do Boga odeszła. Pod dachem Hadži-Petara zapanował smutek poważny, który wkońcu ustąpić musiał miejsca troskom i kłopotom, jakie się zrodziły w Jagodynie po wyjściu Turków.

Hadzi-Petar był osobistością zanadto poważną i za-
zbyt poważną, aby pominąć go miano przy rozwią-
zaniu zagadki: co zrobić?

Historja zagadkę tę rozwiązuje. Wiadomo, że wy-
swobodzenie Serbji nie nastąpiło jeszcze tym razem.
Pokój w Sistowie zawarty zwrócił ją Turcji napowrót,
z tem jedynie na korzyść jej zastrzeżeniem, że Wyso-
ka Porta zobowiązała się nie pociągać do odpowie-
dzialności rajów, którzy przeciwko niej w szeregach
ochotniczych korpusów walczyli.

Historja jeszcze jeden, nader ciekawy zapisuje
szczegół. Kiedy komisarze tureccy, przysłani do odbie-
rania kraju, widzieli, jak z pewnego, który im odda-
wano, grodu czeta serbska pod bronią wyszła i musztrę
całą, jak wojska cesarskie, odbyła, zdziwili się i zdu-
mieli wielce, co z tego wyniknąć może. „Sąsiedzi! —
rzekł do Niemców jeden z nich — i co to wy z naszej
zrobili rai?“

Dawny przeto porządek, zmieniony nieco koniecz-
nemi w pierwszych chwilach, po świeżem podpisaniu
traktatu, folgami, powrócił. Powrócił w Jagodynie do
konaku kajmakan, lecz nie Ali-aga — ten umarł po-
dobno; powrócili członkowie mezliszu; powrócił kady;
powrócili muftowie; powrócił kawedzi; powrócił po-
borca; powrócili spahje; powrócił, jednym słowem,
cały skład władzy, cały instrument panowania turec-
kiego, z wyjątkiem osobistości kilku, które zawar-
cha porwała i z rzędu żywych wyrzuciła. Powrócili
także synowie Hadzi-Petara z frajkurów i wszyscy,
którzy z nimi razem byli, a na polach bitew śmierci
nie znaleźli. Powrócił pod dachem Hadzi-Petara daw-

ny życia tryb, który się zmienił o tyle tylko, że ubyła Milewa, i zmienić się miał jeszcze przez ubycie dziewczynki na wydaniu.

Dziewojka na wydaniu była; zamąż iść musiała; — tak porządek kazał; zamąż iść, ale — za kogo?

Ojciec, matka, stryjowie i ciotki z niepokojem spoglądali na nią, niepokój bowiem wzbudzało zachowanie się jej dziwne, świadczące, że w sercu jej odbywa się walka sroga. Wydawała się ona jakaś ustawicznie czy przełęczniona, czy zdziwiona, naprzemian zaś raz smutna, znów wesoła. Wyzwolenie Serbji, śmierć babki, wstrząśnienia, przez jakie przechodzili wszyscy, oddziaływać na nią musiały z siłą niemniejszą, jak pojawienie się w Jagodynie Marka. Marko w mieście był, odszedł i ani się zatroszczył o nią.

— Zapomniał!...

Wyraz ten burzą wył, boleścią zawodził, rozpaczą dzwonił.

— Och!...

Ojciec, matka, stryjowie, ciotki mówili pomiędzy sobą pocichu:

— Na Milenka czekać trzeba... Wszak wolno mu teraz w Jagodynie zamieszkać... Przybyćby i ze słowa wywiązać się powinien.

Hadzi-Petar milczał; wnuczkę niekiedy hołubił, jakby jej żałował, lub pocieszać chciał.

Ojciec, matka, stryjowie, ciotki i o kapetanie Marku niekiedy myśleli, ale nic o nim nie mówili, raz dlatego, że Milenko słowo miał — Anka narzeczoną jego była, — powtóre dlatego, że kapetan wydawał się im osobą zazbyt wysoko postawioną.

Na Milenka więc czekali — i doczekali się. Przybył, ale nie sam. Przyprowdził ze sobą... kapetana Marka.

Niesposób opisać wrażenia, jakiego Anka doznała, gdy ich razem ujrzała.

Jeden narzeczony, drugi kochany!

Przybyli razem, a przybywali tak, że, patrząc na nich, wydawało się, iż Marko ociąga się, a Milenko go prowadzi. W samej-bo rzeczy prowadził go, i to za rękę. Hadzi-Petar na spotkanie ich powstał, za Hadzi-Petarem poszli synowie jego i synowe, wnuki i wnuczki, z wyjątkiem Anki, która, zdawało się, skamieniała na miejscu.

Milenko, Marka za rękę trzymając, starcowi się pokłonił.

— Przychodzę do ciebie, babo, po narzeczoną moją... dla niego...

I palcem zukosa na Marka ukazał.

— Milenku!... — krzyknął ten ostatni, rękę mu wydzierając i od stóp do głowy, z wyrazem zdumienia w oczach, go mierząc.

— Tak, dla ciebie!... Dla ciebie Serbja pierwsza była niż ona, i dla mnie także; ale tyś Serbji usłużył lepiej, aniżeli ja... Chciałem się z tobą o dziewczynkę orężem rozprawić... Rozprawę pomiędzy nami zrobiła Serbja orężna.

Anka w głąb domu uciekła. Staremu Hadzi-Petarowi w oczach łzy się zakręciły. Chciał coś przemówić. Na chceniu jednak skończyło się tym razem.

Co się zaś stało dalej? — niech czytelnik sam sobie w wyobraźni swej dosnuje. Ze strony mojej dodam jeszcze to tylko, że w trzynaście lat później Serbja o siłach własnych na nogach stanęła, postawiona przez uczniów tych, co jej, wzorem Marka, służyli — o czym... z historii dowiedzieć się można dokładniej, aniżeli z powieści.

KONIEC.

K
22.999
1-2